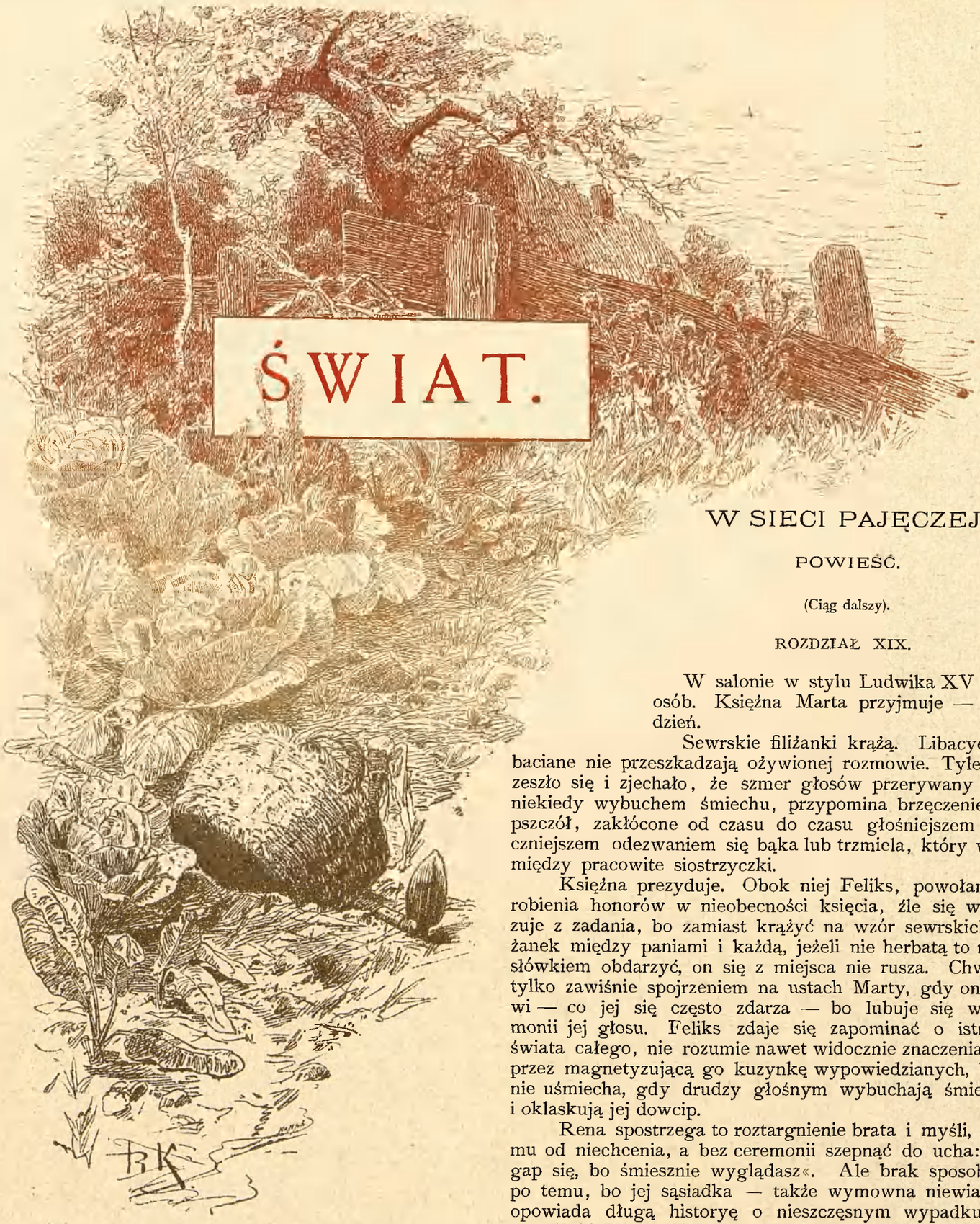


ŚWIAT.

W SIECI PAJĘCZEJ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XIX.

W salonie w stylu Ludwika XV pełno osób. Księżna Marta przyjmuje — to jej dzień.

Sewrskie filiżanki krążą. Libacye herbaciane nie przeszkadzają ożywionej rozmowie. Tyle osób zeszło się i zjechało, że szmer głosów przerywany kiedy niekiedy wybuchem śmiechu, przypomina brzęczenie roju pszczół, zakłócone od czasu do czasu głośniejszem i huczniejszem odezwaniem się bąka lub trzmiela, który wpadł między pracowite siostrzyczki.

Księżna prezyduje. Obok niej Feliks, powołany do robienia honorów w nieobecności księcia, źle się wywiązuje z zadania, bo zamiast krążyć na wzór sewrskich filiżanek między paniami i każdą, jeżeli nie herbatą to miłem słówkiem obdarzyć, on się z miejsca nie rusza. Chwilami tylko zawiśnie spojrzeniem na ustach Marty, gdy ona mówi — co jej się często zdarza — bo lubuje się w harmonii jej głosu. Feliks zdaje się zapominać o istnieniu świata całego, nie rozumie nawet widocznie znaczenia słów przez magnetyzującą go kuzynkę wypowiedzianych, bo się nie uśmiecha, gdy drudzy głośnym wybuchają śmiechem i oklaskują jej dowcip.

Rena spostrzega to roztargnienie brata i myśli, jakby mu od niechcenia, a bez ceremonii szepnąć do ucha: »Nie gap się, bo śmiesznie wyglądasz«. Ale brak sposobności po temu, bo jej sąsiadka — także wymowna niewiasta — opowiada długą historyę o nieszczęsnym wypadku swej mopsiczki Bobinetki.

Lokaj zaanonsował: »Baron Kaunitz«.

Drobnym kłusikiem wbiegł do salonu maleńki, filigranowy człowieczek, zręcznie wymijając pufy i kanapki. Zbliżył się do Marty i rzekł:

— Ośmieliłem się korzystać z zaproszenia, bo jutro wyjeżdżam, a pragnąłem złożyć hołd księżnie w jej domu.

— Bardzo to uprzejmie ze strony barona — odparła Marta, rękę mu podając ze zwykłym serdecznym uściskiem.

— Księżna raczy mnie przedstawić swemu mężowi — mówił dalej, równie szybko, niestrudzony i widocznie oddechu niepotrzebujący młody baron. Nie czekając przedstawienia, ukłonił się Feliksowi, rękę do niego wyciągając.

Księżna — trochę zmięszana — uprzedzała go daremnie:

— Mego męża nie ma w domu, wyjechał na polowanie.

Nic to nie pomagało. Młody człowiek, trzęsąc ręką Feliksa, mówił z entuzyazmem:

— Szczęśliwy jestem, że mam sposobność poznać księcia. Miałem honor spotkać go już parę razy, ale nie mogę go nigdy zastać w mieszkaniu.

Rój pszczół ucichł. Wszyscy wlepili oczy w roztrzepanego młodzieńca, nie pojmując co się stało. Feliks spadł z obłoków, bo zapatrzony w swoją tęczę, nie zwrócił nawet uwagi na anonsowanego barona.

— Przepraszam... ale nie mam przyjemności... — wyjąkał nareszcie, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Kochany panie baronie, to nie mój mąż, to mój kuzyn: hrabia Feliks Ustrzowski. Męża mego w domu nie ma... wyjechał na wieś!

Baron usta otworzył i szkła wsadził na nos. Spoglądając to na Martę, to na Feliksa, mruczał:

— *Excusez*... księżna wie... mam krótki wzrok... *quelle maladresse*... *quelle maladresse*!...

Rój pszczół począł donośniej niż przedtem brzęczeć. Głosy bąków i trzmieli zabrzmiały w kilku miejscach wybuchami tłumionego śmiechu, a Marta tymczasem, sadowiąc stroskanego barona obok siebie, pocieszała go, że nie jego wina, iż księcia nie poznał, kiedy go nigdy nie widział.

Renę epizod ten najbardziej rozśmieszył. Czuła się dziś dobrze usposobioną, pewną bowiem była, że lada chwila dzwonek się odezwie i wejdzie ten, którego mniej cierpliwie niż średniowieczna Grieseldis oczekiwała. Nie myliła się... W chwilę po zaawansowaniu Feliksa na męża Marty, lokaj zaanonsował: »Hrabia Parnawski«.

Włodzimierz zbliżył się do księżnej, aby się jej ukłonić. Ona jednak zdawała się go nie widzieć, tak była zajęta rozmową z roztrzepanym baronem. Hrabia stał kilka sekund na miejscu zimny, spokojny, poważny. Nareszcie przypomniał swoją obecność, mówiąc:

— Księżno, mam zaszczyt ją powitać.

Ona zwolna zwróciła oczy ku niemu, a zmierzywszy go od stóp do głów, wyciągnęła rękę, niedbale same koniuszki palców mu podając:

— A to hrabia znowu?... Nie spodziewałam się widzieć go dziś u siebie.

Rój pszczół ucichł powtórnie. Rena zbladła... Hrabia na chwilę nie zmienił wyrazu twarzy i odparł niezmięszany:

— Księżna mniemała zapewne, że już opuściłem Warszawę. Miałem ten zamiar, ale odłożyłem wyjazd na znacznie później.

Mówiąc to, z zupełną swobodą zwrócił się w stronę Reny, usiadł obok niej i rozpoczął ożywioną rozmowę tak z nią, jak i z jej sąsiadką.

Pani Szeptowska w oddalonym kącie saloniku nachyliła się do ucha swego dobrego znajomego:

— Co ten biedny hrabia przewinił, że mu księżna zrobiła taką impertynencyę?

— Czy pani nie wiesz, że księżna robi impertynencye wszystkim, którzy się do jej rydwanu nie wprzęgają.

— Ależ to szkaradnie z jej strony. To dowodzi złego wychowania.

— Księżna nie jest wcale wychowaną. Podziwiałem zimną krew Włodzimierza. Zniósł afront po bohatersku.

— Afront spada na nią. Jemu to w oczach świata nie zaszkodzi, bo wszyscy wiedzą, czego się trzymać pod tym względem.

— Pani przypuszcza, że to zazdrość?

— Naturalnie... Inaczej przyjmowałaby hrabiego, gdyby on ją, a nie jej kuzynkę swemi względami obdarzał.

— Nieszczęśliwe dziecko ta panna Ustrzowska; zdaje się z góry przeznaczoną na ofiarę jednego z pająków.

— Jakto?!... Nie rozumiem...

— Wytłumaczę to pani. Księżna snuje śliczną, cieniuchną pajęczynę, aby w nią chwytać owady. Hrabia snuje także pajęczynę... tylko mocniejszą i trwalszą. Biedne muszki w nią wplątane ulecić nie mogą. Księżna nie daruje upatrzonemu owadowi, omijającemu jej sidła i zemści się na tej, która stanie się przyczyną jej niepowodzenia... czyli: zemści się na Renie. Hrabia nie pozwoli ujść muszce, na którą parol zagiął... a więc nie pozwoli ujść Renie. Słowem tak czy owak, Rena padnie ofiarą polujących na nią pająków.

— Wielki pessymisto, dlaczego nie przypuszczasz, że się to wszystko skończy dobrze, że muszka nie da się schwytać... i swobodnie uleci.

— Bo znam pająki. Nie muchom z nimi wojować!

Po rozejściu się licznego towarzystwa z *five o'clock* dwie kuzynki, czyli, według słów pessymisty: pająk i mucha — znalazły się sam na sam.

Mucha widać mniej łatwą była do pokonania niż się pessymiście wydawało; przynajmniej odwagi jej nie brakło, bo pierwsza walkę z pająkiem rozpoczęła.

— Marto, muszę cię o jedną rzecz zapytać? — rzekła.

— Pytaj o wszystko, co tylko chcesz wiedzieć ma *toute belle.*

Widocznie pajączek mile był usposobiony.

— Powiedz mi szczerze, dlaczego zrobiłaś taką impertynencyę hrabiemu Parnawskiemu?

— Czy ja mu zrobiłam impertynencyę? Nic o tem nie wiem — niewinnie odparła Merry.

— Mniemam, że wiesz Marto, więc może zechcesz mnie objaśnić, dlaczego tak postąpiłaś? — stanowczo pytała Rena.

Księżnej oczy zabłysły.

— Tak postąpiłam, bo tak chciałam.

— Nie, moja droga, mnie się zdaje, że masz za wiele inteligencyi, abyś komu bez powodu wyrządzała krzywdę moralną. Całe szczęście, że policzek kapryśnej kobiety mężczyźnie nie ubliża, bo inaczej...

— Bo inaczej... cóżby się stało?... Wyzwałabyś mnie na pojedynek w jego obronie. A! wiesz Reno, że ty nie wątpisz o niczem. Racz więc przyjąć do swej wiadomości raz na zawsze, że nikomu się nie spowiadam z moich uczynków, ani z ich powodów. Racz wiedzieć także, że hrabia Parnawski nie przestąpi więcej progu mego domu i że go tu nigdy nie zobaczysz. Jeżeli chcesz robić demonstracye na jego korzyść, to musisz wybrać inny teren w tym celu, nie tu!... *Notabene* dodaję, że z mamą nie mówiłam jeszcze o całej sprawie, bo nie chcę jej zirytować wzmianką o bezczelnym sposobie, w jaki cię twój hrabia kompromituje, ale strzeż się, bo gdy ją uwiadomię o tem, to nie spostrzeżesz się nawet, kiedy się zobaczysz w czterech murach klasztornych.

— Przepraszam cię Marto, ale pozwól mi pomówić z sobą rozsądnie, bo dotychczas uniesienie twoje po za granice zdrowej logiki cię zaprowadziło. Musimy się porozumieć.

— Szczerze tego pragnę, choć mnie ta kwestya już nudzi.

— To dziwna, bo wyglądasz jakby cię ta kwestya o gorączkę przyprawiała.

— Mów, co masz powiedzieć, bo cierpliwość moja ma granice.

— Bardzo ciasne... Wiem o tem. Więc odpowiesz mi tylko, czy młodzi ludzie, nie kryjący swej sympatyi dla młodej kobiety, nie związanej niczem, ani słowem, ani przysięgą, wolnej zupełnie, mogą ją tem kompromitować?... Przecież chyba raczysz przyznać, że mam prawo wyboru. Wolno mi jest odrzucić albo przyjąć ich hołdy, ale kompromitować mię one nie mogą. Możesz uwiadomić ciocię o wszystkiem co mnie dotyczy... Ona jest sprawiedliwa i osądzi. Gdyby jednak znała prawdę całą, nie wiem jakby osądziła twoje postępowanie względem człowieka, który niczem przeciw tobie nie zawinił, chyba tem jednem tylko, że jest moim przyjacielem.

— Twoim przyjacielem! O ty niewinne dzieciątko... jakże mnie rozczula twoja przyjaźń. Jesteś naiwną, jeśli myślisz, że mnie może obchodzić to, co się dzieje w twej przewróconej głowie. Zakończmy tę nudną dyskusyę. Nic nie pomoże, choćbyś mnie błagała... hrabia nie przestąpi więcej progu mego domu.

— Wiesz chyba dobrze, że o coś podobnego nie myślałam cię prosić... Nigdy o nic błagać ciebie nie będę, a szczególniej o łaskę, z której hrabia by nie korzystał, choćbyś ty go o to prosiła.

— Doprawdy?... Tem lepiej... zatem zupełna zgoda między nami. Racz zakończyć tę interesującą rozmowę... ja wychodzę, nie mam czasu.

Nazajutrz po owem starciu między kuzynkami zaszło innego rodzaju i znaczenia starcie między Włodzimierzem a Reną, z którego ta ostatnia wyszła mniej zwycięsko.

Spotkali się na ostatnim wieczorze tegorocznym. Za kilkanaście godzin miano im popiołem głowy posypać. Ledwie hrabia spostrzegł w tłumie wyniosłą główkę małej królewnej, natychmiast zbliżył się do niej, a ona z widoczną intencyą serdeczniej niż zwykle rękę mu podała, mówiąc:

— Pamiętam, pamiętam... kotyliona tańczymy razem.

— To dopiero na końcu, ale teraz mogę prosić o tego walca?

Oczy Marty podążyły za ładną parą, zataczając z nią razem koła po salonie. Jeśli to prawda, że w sercu każdego człowieka jest miejsce na puszkę, w której zamknięte są szczelnie skorpiony, szczypawki, żmije i osy, — jeżeli to prawda, że bywają momenta, w których wieko puszki otwiera się, aby pozwolić gadom i złośliwym owadom wypełznąć, to chwilę podobną odczuwało obecnie serce księżnej.

Po skończonym walcu hrabia odprowadził Renę do bocznego salonu, gdzie już kilka par — wyłącznie sobą zajętych — zasiadło. I oni ulokowali się w cieniu, za parawanikiem chińskim. Włodzimierz upewniwszy się wzrokiem, że nikt na nich nie patrzy, chwycił rączkę Reny, a zsuwając z niej rękawiczkę, całował drobne paluszki z uczuciem, chociaż tak delikatnie i lekko, że rozmarzone dziewczę czuło raczej palący jego oddech, a nie dotknięcie ust gorących.

— Chciała mi ciebie wydrzeć... ale się jej nie udało. Niegodna kobieta — szeptał Włodzimierz.

— Biedny! nie mogę ci powiedzieć, co się w sercu mojem działo w chwili, kiedy cię Marta tak przyjęła.

— Próżne obawy, moja jedyna. Był to dla mnie tryumf prawdziwy, wiedziałem bowiem, że rzuca się na mnie dla tego tylko, aby nas rozdzielić... Więc widzi, że jesteśmy złączeni... bo jesteśmy złączeni... nieprawdaż?... miłością bez granic...

Oczami mu odpowiedziała. On widocznie zadowolnił się tą odpowiedzią i mówił dalej:

— A jednak nie jestem szczęśliwy... Jest myśl, która mnie gnębi okropnie!

Rena spojrzała na niego z niepokojem.

— Tak; nie mogę się pogodzić z myślą, że długo... bardzo długo... dla mnie wieki całe... muszę cię widywać tylko w salonie, między mnóstwem ciekawych. Bazyliszkowy wzrok twojej kuzynki nas szpieguje... Słowa swobodnie zamienić nie możemy, aby się nie narazić na niepotrzebne komentarze.

— Jakież komentarze robić mogą? Że się kochamy... cóż w tem złego?... Wszakże nam obojgu kochać się wolno.

— Moja słodka królewno... niestety... tak nie jest. Świat na zakochanych nieżyczliwie spogląda, bo im ludzie szczęścia zawsze zazdroszczą. Powiedz, jakiem będzie moje istnienie, kiedy wkrótce skończą się liczniejsze zebrania? Nie chcę pogodzić się z myślą, że coraz rzadziej widywać się będziemy... U księżnej bywać więcej nie mogę...

— O nie! Nie chcę, abyś u niej bywał...

— Masz słuszność, moja jedyna. Ale powiedz mi, gdzie się mamy spotykać? Wiesz już dlaczego aż do ostatniej chwili nie możemy zdradzić tajemnicy naszej miłości... Marta do piekła poszłaby po pomoc, byle nas rozdzielić, a jeszcze wiele miesięcy upłynie, zanim jawnie będę się mógł moim skarbem pochwalić. Po-

JULIAN FAŁAT.



SOSNY.

wiedz, czy zdołasz żyć bez widywania się ze mną?... bo ja szczerze przyznaję, że na samą myśl o tem tracę odwagę...

Na myśl o niewidywaniu ukochanego, serce Reny ścisnęło się głębokim żalem. On mówił dalej:

— Śmieszne i zacofane formalności, przyjęte w naszym kraju oburzają mnie. W Anglii nie potrzebowalibyśmy się krępować.

— Jakto? — zapytała Rena.

— Naturalnie. W Anglii on i ona jeżeli się kochają, oświadczą się sobie, zaręczą się... choćby w największym sekrecie... widywać się mogą wszędzie sam na sam, na spacerach pieszych lub konnych. Nikt temu nie ma nic do zarzucenia.

— Tak, ale co kraj to obyczaj. Trudno wyłamywać się z pod rutyny raz przyjętej.

— O! nie mów tego, moja ukochana. To są uprzedzenia, niegodne wyższego umysłu. Gdyby wszyscy byli tego zdania, nigdyby się nie przyjął obcy, choćby najlepszy zwyczaj, w sąsiednim lub dalszym kraju. Szczególniej jeżeli się kocha, nie należy zwracać uwagi na takie drobnostki. Nie trzeba mówić: »To wolno w Anglii, a tego nie wolno w Polsce«. Czy kilkaset mil oddalenia, albo sąsiedztwo morza stanowią różnicę w usposobieniu i naturze ludzkiej? Nie! Inne kraje wyprzedziły nas w cywilizacyi, w swobodzie, w niekrępowaniu się przesądami. Ci, którzy mają choć trochę niepodległości umysłu i umieją przyjmować reguły, stworzone nie dla setek tysięcy, ale dla siebie osobiście, ci z pewnością przyznają, że gdy chodzi o miłość, względy rutyny krajowej powinny być na bok usunięte, bo w niektórych okolicznościach są niemożliwemi, nie mają żadnego sensu.

— Mnie się zdaje, że zwyczaj przyjęty przez ogół musi mieć słuszność za sobą. Wszakże na większości głosów opierają się prawa.

— Dlatego też niemal we wszystkich krajach bywają prawa zgubne i szkodliwe, bo uchwaliła je większość, o umysłach ograniczonych. Tylko mniejszość... i to bardzo nieliczna... poszczycić się może wyższą inteligencyą. Niedarmo ktoś powiedział, że gdyby głupota była cierpieniem fizycznem, olbrzymia większość ludzkości wiłaby się w nieustannym bólu. Tak moja Reno ukochana; niemądry zwyczaj ogółu nas w niczem krępować nie powinien. Każda reguła musi mieć wyjątki... a nasze położenie jest tak wyjątkowe!

— Więc co pan zamyślasz?

— Nie wiem jeszcze... ale widywać się musimy koniecznie... często... za jakąbądź cenę...

— Za kilka miesięcy, sam mówisz, że będziemy wolni.

— Kilka miesięcy! Czy to niczem dla ciebie?!... Ja o tem tak spokojnie mówić nie mogę. Dla mnie dzień jeden jest nie do zniesienia gdy cię nie ujrzę. Widzisz lekarko, kazałaś mi się wyleczyć z nudów... i wyleczyłaś mnie... a ostrzegałem cię kiedyś, że więcej się lękam cierpienia niż spleenu. Nie pozwoliłaś mi być pessymistą... kazałaś wierzyć w szczęście. Teraz broń mnie od cierpienia, bo inaczej byłabyś sama jego przyczyną.

Mówiąc to, pochylił się i patrzał na nią błagalnym wzrokiem.

— Co począć? jak na to poradzić? — pytała Rena, czując, że mu się nie obroni i że ona także bez spojrzeń tych głębokich, wymownych oczu żyć nie może.

— Ty jedna możesz uczynić, o co cię proszę, bylebyś zechciała... tylko dla mojej miłości. Musisz sobie przez jakiś czas wyobrazić, że jesteś Angielką nie Polką...

— O nie! Tego nie uczynię... nie zdołałabym... nie... Bogu nawet nie poświęciłabym mojego pochodzenia... Zapomnieć nie mogę, że jestem Polką...

— Nie egzaltuj się. Nie chodzi tu o zapomnienie zupełne... Zresztą inaczej kwestyę postawię... Wyobraź sobie przez jakiś czas, że w Polsce panują angielskie zwyczaje.

— I co dalej?

— I... powiedz mi, że codziennie spotkamy się na przechadzce. Wychodzisz przecież na spacer... masz może kogoś zaufanego?...

Rena pomyślała o Krasuni, ale uważała za stosowne nic nie odpowiedzieć.

— Jednego dnia uradzimy, gdzie się na drugi dzień zobaczyć mamy, bo widywać się musimy... Nieprawdaż?... Jabym umarł inaczej, a tobie chyba byłoby smutno, gdybym umarł... Co?... moje szczęście jedyne, wszakże nie pragniesz mojej śmierci? — mówił słodko i z drżeniem w głosie.

OLGA BOZNANSKA.



PORTRET.

(Z WYSTAWY MIĘDZYNARODOWEJ W MONACHIUM).

— Czuję, że bardzo źle postąpiłabym, przyrzekając ci hrabio to, o co prosisz.

— Nie, moja jedyna. Ty wiesz, że źle postąpić nie możesz. Rozsądek ci mówi, że tak być musi... serce... uczucie mówią ci, że nie ma innego wyjścia w naszem położeniu, że mamy wszelkie prawo widywać się, kiedy się kochamy. Obiecujesz... nieprawdaż? Jutro o trzeciej będziesz na moście... tam mnie zobaczysz... poprowadzę cię do zwykle bezludnego parku Aleksandryjskiego. Tam będziemy bezpieczni od bazyliszkowego wzroku... nie spotkamy tam nikogo ze znajomych. *C'est dit, n'est-ce pas ma bien aimée?...*

Kto nie odpowiada, przystaje. Rena widocznie przystawała, bo zamilkła.

— Wiesz, że jabym ci nic złego nie radził. Więcej dbam o ciebie, niż o świat cały, bo cię kocham nad życie. Dlaczegożbyś mi ufać nie miała?... Musisz mieć koniecznie zaufanie do mnie, wiarę zupełną... bo nikt na świecie więcej cię odemnie nie kocha.

Widocznie nowe skrupuły zaczęły się budzić w sercu Reny, bo nagle zawołała:

— O nie, hrabio, nie żądaj tego odemnie. Czuję, że to byłoby złem, co mi doradzasz. Wiem, że gdyby mama i Helenka żyły, nie pozwoliłyby mi na to. O! proszę cię, nie żądaj odemnie tego poświęcenia.

— Ależ najdroższa, gdyby matka twoja żyła, nie byłoby potrzeby w ten sposób postępować... nie musielibyśmy ukrywać się przed Martą. Nie odmawiaj mi, błagam cię. Czyż jabym prosił o to poświęcenie, gdybym w tem widział co złego?

— Nie... nie proś, bo mi się serce kraje, a dziś odpowiedzieć nie mogę... doprawdy nie mogę... Poczekaj... może później.

On posmutniał. Oczy jego zamgliły się wyrazem rozpaczy.

Szepnął:

— Poczekam....

Nie zdążył wyrazić wszystkiego co miał na myśli, bo zrobił się ruch niezwykły w około nich. Wołano:

— Północ! Dwunasta wybiła... Post! post!

Jeden z panów zbliżył się do Reny, mówiąc:

— Już klamka zapadła. Tańczyć nie będziemy przez dwa miesiące. Mamy rozpocząć post koncertem. Pani Szeptowska będzie śpiewała, a przytem knujemy tajemny spisek na hrabiego, licząc... że nam nie odmówi... że się da ubłagać... ma głos tak piękny!...

Włodzimierz odprowadzając Renę do głównego salonu, szepnął jej do ucha:

— Jeżeli każesz, będę śpiewał.

W pół godziny później kończył ślicznego mazurka Szopena pełnym uczucia namiętnym głosem:

Słuchaj skarbie mój uroczy,
Ja szaleję, kochaj mnie.

ROZDZIAŁ XX.

Cały tryb życia Feliksa nowej uległ zmianie, a mieszkanie jego o tem świadczyło. Stolik obity zielonem suknem wsunięty został w najciemniejszy kąt pokoju. Baletnice i cyrkówki znikły w głębi szuflad. Salonik przybrał powierzchowność *correct*, niemal zupełnie przyzwoitą. Co dziwniejsza, to, że i sypialny pokój uległ zupełnemu przeistoczeniu. Zapanowały w nim ład i pewna elegancya. Łóżko zniknęło pod głębokim baldachimem. Trudno było dojrzeć po za spuszczonemi firankami czy trupia głowa i pytanie »*Gdzie prawda?*« pozostały nietknięte na dawnem miejscu. Na sprzętach nie widać było pyłu; papiery porządnie złożone leżały na biurze. Dwie fotografie gabinetowego formatu, w pięknych stylowych ramach z bronzu, zdobiły ten dawniej zagracony mebel. Jedna z nich przedstawiała siostrę Feliksa. Wyraz twarzy Reny znakomicie był na niej pochwycony. Oczy wielkie, jaśniejące poezyą, zdawały się patrzeć w dal przed siebie. Pogodna jakaś melancholia, malująca się na licu dziewczęcia, odtworzonego w chwili zamyślenia, niesłychanie sympatyczne, ale trochę smutne robiła wrażenie. Skromnie zaczesana głowa, kilka loczków jasnych od niechcenia zwieszających się na czoło piękne, ubiór nie bogaty lecz wykwintny i pełen dobrego smaku tworzyły całość miłą i zajmującą, lecz niedość nowoczesną i pociągającą. Za to portrecik Marty zupełnie inne wywoływał wrażenie. Dekoltowana, o odkrytych ramionach, w spaniałym balowym stroju, miała na szyi przepyszne perły, znane w kraju całym, których i królowe mogłyby jej pozazdrościć. Oczy jej zdawały się wyniośle mierzyć od stóp do głów widza, przyglądającego się fotografii.

Długo namyślał się Feliks czy fotografię tę umieścić w swojej sypialni — ale Marta, dając mu ją, żądała tego koniecznie. Któżby mógł mu się dziwić i brać za złe, że obok portretu siostry stawia wizerunek najbliższej krewnej. Sypialny pokój przestał być tajemniczym przybytkiem, do którego nikomu nie było wolno wchodzić. Przeciwnie, zamienił się na *fumoir*, bo Feliks od pewnego czasu nie pozwalał palić w salonie. Dlaczego? Nikt nie znał przyczyny! Ot! taka była jego fantazya i koniec. On sam nie mógłby jasno określić powodu, chociaż na dnie duszy drzemała myśl, nie opuszczająca go prawie: »A nuż przyjdzie mnie kiedy odwiedzić? Dlaczego nie miałaby zajrzeć do mieszkania swego stryjecznego brata? Może z Reną wpadną kiedy tutaj?«... Rena dawniej wpraszała się nieraz, bo ciekawa była zobaczyć jak się urządził. Ale on — w chwili kiedy przybyła do Warszawy — hołdował już formom i nie pozwalał siostrze przekroczyć ich w niczem. Dlatego nie zachęcał jej do odwiedzin.

— Mogłabyś spotkać u mnie — mówił — którego z młodych ludzi i byłoby ci to nieprzyjemnem. Nie jest napisanem na twojem czole, że jesteś moją siostrą; gotów ci kto ubliżyć niechcący. Lepiej dać temu pokój.

W duchu jednak dodawał:

— Z Martą to co innego; dwie kobiety śmiało wszędzie wejść mogą.

Nie przychodziła mu na myśl Krasecka, która także mogłaby towarzyszyć Renie. Rzecz mu dopiero wtedy wydała się naturalną, kiedy się w czyn zamieniła.

Pewnego dnia leżał wyciągnięty na szezlongu z papierosem w ustach i czytał »*Les mensonges*« Bour-

geta. W tem weszły do jego pokoju dwie panie, z których jedna młoda, druga stara. Chwileczkę serce mu gwałtownie zakołatało w piersiach, ale natychmiast poznał, że to tylko siostra, zatem serce nie ma się czego rozbijać.

Rena zachwycona była przybytkiem brata. Chodziła od jednego przedmiotu do drugiego i nacieszyć się niemi nie mogła.

Feliks starał się robić honory Krasuni, uprzejmie z nią rozmawiając. Rena tymczasem kręciła się jak ptaszek w klatce. Co chwila nowy wykrzyknik podziwu wyrywał się z jej piersi, a w duchu myślała:

— Co się z tego człowieka zrobiło!

Wymawiała mu, że jej nigdy nie zaprosił, ażeby jej pokazać tyle rzeczy godnych widzenia. On zdawał się ucieszony niespodzianką, jaką mu zrobiła. Dawno już nie był równie dla niej miłym. Serce jej rozpływało się z radości. Każde dobre słówko Feliksa zdawało się wzmacniać jej przywiązanie do brata.

— Dobrze zrobiłam, że nie pytałam o pozwolenie — paplała uszczęśliwiona. — Sam widzisz, że z Krasunią do kawalerskiego mieszkania ryzykować się mogę. Ach Feli! jak u ciebie ślicznie! Co to za rozkoszne gniazdko... tylko żony ci potrzeba... doprawdy! Ty się też zmieniłeś na awantaż... nie do poznania! Nieprawdaż Krasuniu, jaki z niego śliczny chłopiec? Dobrze, że jestem twoją siostrą, bobym gotowa głowę stracić dla ciebie.

Krasecka pogroziła jej palcem figlarnie. Zrozumiały się, bo Rena oblała się rumieńcem, który nawet zwykle roztargnionemu Feliksowi podejrzanym się wydał.

Zwróciła rozmowę na inny temat:

— Wiesz nowinę?... Książe wraca pojutrze. Bardzo się z tego cieszę... ja go tak lubię.

Teraz twarz Feliksa w oka mgnieniu inny wyraz przybrała. Znikł promyk zadowolenia z jego oczu i zapytał:

— Tak go lubisz?... No, wiesz, można ci powinszować. Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

— Bo jego trzeba lepiej poznać. On jest trochę nieprzystępny, zimny... ale w gruncie to bardzo zacny człowiek.

— Powiedz raczej, że jest okropnie nudny, że jego obecność obniża temperaturę do dwudziestu stopni niżej zera. Człowiek ten chłód po świecie roznosi. Sztywny, jak gdyby kij połknął. Nie, moja droga, nie zgadzamy się w gustach. Wcale za nim nie tęskniłem.

Krasunia niewinnie oczy spuściła ku ziemi. Rena zaś podniosła je na brata i mówiła odważnie:

— Kto wie, czy to nie brak serca u Merry uczynił z biednego księcia taką bryłę lodu. Marta miłością swoją ogrzać go nie mogła.

— Co ty wiesz o miłości moja droga? Rezonujesz jak ślepy o kolorach... Kto wie?... Naturalnie, że nikt nie wie. W hipotezy trudno się bawić. Tak samo można powiedzieć: kto wie, czy Marta nie wyrzekła się pierwotnego zamiaru rozgrzania miłością człowieka, który tak jest stworzony do miłości, jak słoń do lotu. Nie ma zresztą o czem mówić... Zkąd wracasz?

Rena mocniej jeszcze zarumieniła się niż przed chwilą.

— Wracamy ze spaceru. Powietrze takie piękne... zdawałoby się: zapowiedź wiosny. Czy będziesz dziś u nas?

— Może... nie wiem! Zobaczę.

Teraz dopiero Rena rzuciła okiem na fotografie, stojące na biurku, bo Feliks cały czas stał i siedział w ten sposób, że je sobą zasłaniał razem ze wszystkiemi przedmiotami, jakie się na niem znajdowały.

— Pokaż! Pokaż Feli — zawołała. — Ach! to Marta... i... ja. Umieściłeś nas razem! Zkąd ci ta myśl przyszła?

Nie byłaby pytała więcej, gdyby spostrzegła groźny wyraz, jakim oczy jego nagle zabłysły.

— Z głowy — odrzekł ironicznie. — Ztamtąd zwykle wszystkie naturalne myśli przychodzą. Ciekawszem jest, zkąd w twojej powstają niemądre pytania.

— Dlaczego się gniewasz? Nie zmuszam cię do odpowiedzi... tylko zapytam jeszcze o co innego... bo ja jestem bardzo ciekawa.

— Wiem, wiem... będzie to pewnie znowu bardzo niemądre pytanie.

— Powiedz mi, czy ty Martę tak jak mnie kochasz?

Gdyby bomba pękła nad uszami Feliksa i Kraseckiej, oboje nie mieliby z pewnością takich min ogłupiałych. Daremnie stara ochmistrzyni zwracała błagalne oczy na Renę, ta zdawała się jej nie widzieć i przyglądała się najspokojniej fotografii, czekając na odpowiedź. Feliks sekundę zdumionym wzrokiem patrzał na siostrę, poczem przeszedł przez pokój, aby zrzucić popiół z papierosa do popielniczki, stojącej gdzieś w kącie, choć miał drugą tuż pod ręką. Nareszcie, odwrócony od niej, zapytał:

— Czy ty i w świecie, między ludźmi, w taki nierozsądny sposób się odzywasz?... Jeżeli tak, to wolałbym się nie przyznawać do tego, że jestem twoim bratem.

— Cóż ja tak złego powiedziałam?... Cóż dziwnego, że jestem zazdrosna o twoje przywiązanie i nie chcę go z nikim dzielić.

Feliks taki był wściekły w tej chwili, że już miał ochotę odrzec: »Niewiele byłoby do podziału«... ale się powstrzymał. Spojrzał tylko na Renę pogardliwie i wycedził z naciskiem:

— Szczęście, że jesteś moją siostrą, bo inaczej w obec dowodu braku zdrowego rozsądku, jaki złożyłaś obecnie, byłbym zmuszony odpowiedzieć ci coś przykrego!

Oczy Reny zaszły łzami.

— Przepraszam cię, nie gniewaj się na mnie — szeptała, nie domyślając się nawet, dla czego się tak rozgniewał.

Posiedziała jeszcze chwileczkę, nie umiejąc już nawiązać rozmowy — i wyszła zmięszana z oburzoną do żywego Krasecką.

Feliks nie był ani smutny, ani oburzony, ale rozdrażniony do najwyższego stopnia. Wiadomość o powrocie księcia dręczyła go i gniewała. Nienawidził męża Marty. Nie wiedział co ma począć, jak postąpić. Nie pierwszy to raz szamotał się z sobą i opór stawiał rosnącemu gwałtownie uczuciu. Przerażony był siłą wrażenia, jakie Marta na nim wywierała. Rozumiał, że poddać się, znaczy to samo co życie na jedną kartę postawić, z tem głębokiem przekonaniem, że przegra. Dotychczas nie przywykł był hartować słabej swej natury; przeciwnie, pomimo niezaprzeczonej inteligencyi z największem zaślepieniem sądził o sobie. Zdawało mu się, że posiada dużo energii, brał bowiem za energię chwilowe uniesienia, oburzenie i gniew. Zdawało mu się, że jest panem swej woli, dlatego, że mu się udało nieraz przezwyciężyć przeciwności, z jakiemi spotykał się na drodze życia. Zdawało mu się, że zawsze działa z rozwagą, nawet wtedy, gdy postępki jego świadczyły o lekkomyślności lub namiętnym szale, bo tłumaczył się przed własnym rozumem, że postępując w ten a nie inny sposób, miał do tego właściwe powody. Zgranie się w karty — które tyle łez Renę kosztowało — było dla niego dowodem mocy charakteru. Grał, dopóki chciał grywać. Potem postanowił wziąść rozbrat z zielonym stolikiem i od tego czasu kart ręką nie dotknął. A czyż znowu nie przekonał siebie, że posiada niezmierną wytrwałość i siłę odporną, walcząc tak po bohatersku z uczuciem miłości?!... Nie zastanawiał się nad tem, że walki tej nie podjął w imię moralności, lub przez poczucie obowiązku... Starał się bowiem gasić pożar, ogarniający całą jego istotę z pobudek czysto egoistycznych. Instynkt zachowawczy nakazywał mu opór. Czuł, że poddanie się grozi mu strasznem niebezpieczeństwem. Lepiej było może stanąć śmiało naprzeciw kogoś w pierś jego mierzącego z dziesięciostrzałowego rewolweru, bo w takim wypadku narażał się na śmierć tylko, kiedy uledz Marcie było to zaprzepaścić całe życie, narazić się na długie i okropne męczarnie.

TADEUSZ RYBKOWSKI.



OJCIEC JAKÓB.

A wreszcie, czy już wyszedł jako tryumfator z walki?!... Zdaje się, że nie.

Piękna kuzynka dała sobie słowo, że zwycięży i tym razem zapisanem było w księdzie przeznaczeń, że słowa dotrzyma. Byłaby się ucieszyła niezawodnie, gdyby wiedziała, co się w tej chwili działo w duszy Feliksa, mogłaby bowiem oczekiwać spokojnie na »moment psychologiczny«. Istotnie wiadomość o powrocie księcia wywołała kryzys w chorobie moralnej rozjątrzonego młodzieńca. Po dość długich debatach z samym sobą przyszedł do przekonania, że najlepiej będzie pójść dziś, zaraz... i wyznać Marcie swoje cierpienia, swoją miłość, powiedzieć jej, że niczego od niej nie żąda, ale przychodzi ją pożegnać; bo widoku jej męża znieść nie może i więcej bywać u niej nie będzie. Daremnie rozum powstawał przeciwko takiej konkluzyi, daremnie pytał, dlaczego wyznawać Marcie to, co powinno było zostać utajonem, dlaczego iść ją żegnać i zapowiadać brak wszelkich do niej pretensyj. Daremnie rozum w dalszym ciągu podsuwał mu myśl, że lepiej byłoby nic nie wyznawać, nic nie zapowiadać, nie żegnać się, ale po prostu pod żadnym pozorem tam nie wracać... on trwał w pierwszem postanowieniu. To co mówiła logika zdrowego rozsądku irytowało go tylko. Mniemał, że dopiero wtedy odzyszcze spokój, kiedy się ze wszystkiem Marcie zwierzy, a potem zerwie z nią na zawsze.

Przechadzał się po pokoju szerokiemi krokami i dumał:

— Nie chcę ciągłego znęcania się pokus nademną. Ulegnę im raz, to mnie dręczyć przestaną. Jeśli nie pójdę... czuję, że powrócą. Zresztą wyznać co mnie jak zmora prześladuje nie znaczy, abym szedł w ogień; przeciwnie, zrzucę ciężar przygniatający mi serce i cofnę się na zawsze. Coby ona pomyślała, gdybym bez żadnego powodu przestał u niej bywać?!... Nie zasłużyła na to... Za dobrą była dla mnie.

Daremnie rozum wołał: »Zasłużyła!... zasłużyła!...« on lękając się powrotu pokusy, wziął kapelusz, włożył paltot i wyszedł, machinalnie kierując się w stronę mieszkania kuzynki.

Nie spostrzegł nawet, kiedy się znalazł na progu okazałego przedpokoju. Na zapytanie zwrócone do lokaja — który mu drzwi otworzył — otrzymał odpowiedź, że Rena z hrabiną przyjmują gości w salonie, a księżna jest u siebie.

— Spytaj, czy przyjmuje — rzekł Feliks.

Po chwili znalazł się w gabineciku Marty — saktuarium, do którego rzadko kto bywał dopuszczony.

— Może ci przeszkadzam, Marto? — zapytał, całując piękną kuzynkę w rękę. — Pisałaś... przerywam...

— Nie, nie! Siadaj, proszę cię... Chciałam nawet z tobą pomówić.

— Czy wolno wiedzieć o czem?

— Podobno mężczyźni nie są ciekawi.

— To zależy... Kobiety ciekawe są wszystkiego w ogóle, mężczyźni rzadziej, ale za to podwójnie.

— Dawno już miałam z tobą pomówić o pewnej rzeczy... ale przyznaję, że nie lubię mięszać się do



WIEŚNIACZKI BRETOŃSKIE NA ODPUŚCIE.

spraw cudzych... więc... A potem... są inne przedmioty więcej dla nas obojga interesujące... nie miałam zatem czasu potrącić o materyę... nie bez pewnego znaczenia dla ciebie...

— Jeżeli nie interesująca, to dajmy jej pokój.

— To mój obowiązek... powinnam się z niego wywiązać... Czy ty się bardzo przyjaźnisz z hrabią Parnawskim?

— Łączą nas życzliwe stosunki... Tak... zdaje mi się. Zapewne... Dlaczego mnie o to pytasz? — Teraz dopiero przyszło Feliksowi na myśl, że rzadziej niż dawniej widuje Włodzimierza i że ich przyjaźń niegdyś tak ścisła chłodnąć zaczyna.

— Czy nie spostrzegłeś, jak on lekkomyślnie postępuje?... Dziwny ma sposób afiszowania Reny, a niestety twoja siostra niedosyć posiada taktu, aby się postawić z nim na innej stopie. W ogóle Rena im więcej grzeszy brakiem znajomości świata, tem więcej nabiera arogancyi. Daremnie ją ostrzegałam... nie chce słuchać moich przestróg. Moja matka nawet bardzo niezadowolona z jej postępowania. Zdaje mi się, że powinieneś tem się zająć, bo inaczej... Ty mamy nie znasz... ale ja wiem, że żartować nie lubi... gotowa rozstać się z Reną, jeżeli będzie miała dalej powód do niezadowolenia.

— Dziękuję ci za troskliwość, jaką Renie okazujesz. Wiem, że często nierozsądnie i dziwacznie postępuje. Nie zauważyłem wprawdzie dotąd niestosownego zachowania się Włodzimierza, bo miałem czem innem głowę nabitą... ale to, co mi powiedziałaś, wystarcza... Zwrócę na nich uwagę... chociaż nie wiem, czy mieć będę potemu dosyć sposobności. W każdym razie pomówię z Reną... i postaram się oczy jej otworzyć.

— Dlaczego mówisz, że nie będziesz miał okazyi do obserwowania Reny?

— Bo nie mam zamiaru bywać tu więcej. Jestem bardzo zajęty... Dla tych i innych względów nie często się teraz będziemy widywać.

— Powiedz mi dlaczego?

— Po to przyszedłem... żeby ci wyznać...

— Więc siadaj tu, obok mnie — mówiła Marta, wskazując mu miejsce przy sobie na kanapce. — Jeżeli to spowiedź, wolę, aby się odbyła w wygodnym konfesyonale.

— Żartujesz nawet z konfesyonału, Marto... Cóż dopiero z mojej spowiedzi?

— Więc i ty filozofie-sceptyku chcesz mnie strofować za brak poszanowania dla przesądów odwiecznych? Czy nawróciłeś się tak nagle i niespodzianie?

— Nie, ale teraz dopiero pojmuję, dlaczego mężczyzna, choćby ateusz... kiedy kocha... ufa więcej osobie, która wiarę w przesądy zachowuje, niż...

— *Voyons! Voyons!* Czy aby cię zaspokoić, mam złożyć przysięgę, że codzień na twoją intencyę odmawiam różaniec?

— Czyżby ci tak łatwo było złożyć przysięgę?... O! Marto, nie dziw mi się, że chcę uciekać, że póki czas... pragnę ujść przed niebezpieczeństwem... Ja się ciebie boję, bo ci nie ufam.

Ona, niby oswojona tygrysiczka zbliżyła się do niego — bo nie przyjął miejsca ofiarowanego mu na kanapce — i biorąc jego ręce w swoje dłonie, przechyliła główkę z kocim wdziękiem. Magnetycznem spojrzeniem zajrzała w głąb jego duszy i zapytała:

— Póki czas?!... Czy myślisz, że jeszcze czas?

On się zerwał z miejsca, a chwytając jej rączki, z których swoje dłonie wysunął, mówił szybkim gorączkowym głosem:

— Nie... nie czas. Już za późno. Wiem o tem... ale się cofnę, ukryję się przed tobą, bo wiem, że gdy będziesz pewna mojej miłości, to mnie wypędzisz... a ja tego nie chcę, bobym umarł. Więc kiedy ci o to chodzi, powiadam szczerze, że cię kocham... tryumfuj!... ale dziś tylko, bo drugi raz tego odemnie nie usłyszysz... bo przyszedłem cię pożegnać... i nieprędko się zobaczymy.

Wzrok błędny Feliksa, jego palące dłonie, ściskające jej drobne rączki, przeraziły księżnę. Przelękła się naprawdę i w pierwszej chwili przez głowę przeleciała jej myśl trwogi nieopisanej, krystalizująca się w wyrazach niewypowiedzianych: »Na co się wdałam w tę historyę!«... Ale gdy młodzieniec umilkł, gdy powoli rączęta jej wydobyły się ze ściskających je kleszczy, pewien rodzaj dumy i zadowolenia owładnął jej duszą. Czuła się nieledwie odurzoną, rozegzaltowaną. Obecnie piękna Marta byłaby przysięgła, że kocha młodego człowieka, który w tak oryginalny i niezwykły sposób składał u jej stóp swoje serce. Przerwała chwilowe milczenie:

— Czemu niepotrzebnie dręczysz mnie i siebie... Mnie nie wolno słuchać twego wyznania... ale wyraz *nie wolno* istnieje tylko dla rozumu... nigdy dla serca... więc...

— Więc ty masz serce?... masz trochę uczucia dla mnie?... O! Marto, jeżeli to prawda, to oszaleję z nadmiaru szczęścia. Mnie ty nie znasz... Nie wiesz do jakiego stopnia jesteś dla mnie wszystkiem: miłością, prawem, sumieniem...

Po tej spowiedzi niewiele pracy potrzebowała sobie Marta zadać, aby wymódz na Feliksie obietnicę, że jej nie opuści, że się poddaje jej woli, jej fantazyi... na wieki!

(Dalszy ciąg nastąpi). ESTEJA.



Z ŻYCIA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

PIERWSZA MIŁOŚĆ I JEDEN Z PIERWSZYCH PRZYJACIÓŁ.

W liczbie korespondentów Zygmunta Krasińskiego spotykamy Edwarda Jaroszyńskiego. Koledzy jego — jak Gaszyński, Sołtan, Słowacki, Koźmianowie (Kajetan, Andrzej i Stanisław), Bronisław Trentowski i Małachowski [1]), wszyscy znani i poznani już ludzie. Jeden tylko skromny mieszkaniec ukrainnych płaszczyzn pozostał w cieniu, może z racyi wyjątkowych warunków, w jakich się znajdował, choć przyjaźń między nimi zawarta, sięga ławy szkolnej, i to przyjaźń gorąca, w imię której bez ofiar się nie obeszło. Następstwem jej było pośrednictwo w ukojeniu kochającej a rozbolałej, skazanej na długi smutek i zapomnienie, kobiety. Skąpym wprawdzie materyałem, dotyczącym kwestyi odnośnej rozporządzamy, nie wszystek nawet z pewnych powodów zużytkować tu możemy, ale i ta odrobina łatwo przekonać może, o szczególnej czci, jaką pan Edward okalał poetę. Że zaś mało jest znanym, więc uważam za konieczne, nim przystąpię do sprawozdania z owych stosunków, około których wiją się zwiędłe liście wygasłej namiętności, choć w kilku odtworzyć go rysach.

Edward Jaroszyński urodził się 1811 r. w Tywrowie na Podolu, syn Cesława, marszałka winnickiego, jednego z bogatszych podówczas posiadaczy ziemskich w naszej prowincyi, — pośród licznego rodzeństwa (dwóch braci i cztery siostry), najmłodszy, najwątlejszy i najwięcej od wszystkich kochany. Kształcił się w Żoliborzu w szczęśliwych warunkach, pod opieką ks. pijara Kamińskiego. Obok wykładów w szkole, brał jeszcze lekcye muzyki i angielskiego języka, którym też władał biegle. Mieszkał w konwikcie, i tylko w dnie świąteczne odwiedzał rodziców, często przebywających w Warszawie. Marszałek prowadził dom otwarty, dawał wieczory — działo się to zaś w 1824 i 1825 roku; naturalnie, że generał Wincenty Krasiński, częstym na nich bywał gościem; obaj ziemianie podolscy — a choć nie sąsiedzi — ale spotykali się często, radzili nieraz o potrzebach kraju. Na tych wieczorach i synowie ich poznali się i zbliżyli; Edward milczący, jakby w sobie skupiony, łagodny, przypadł bardzo do serca rzutkiemu, wesołemu i rozswawolonemu Zygmuntowi. Garnęli się też do siebie wzajemnie i widywali nietylko w domu rodziców, ale i na fetach u starościny opinogórskiej, babki poety, która wszystek drobiazg, nieliczny wprawdzie, należący do koła koleżeńskiego jej wnuka, tak gościnnie i suto podejmowała. W r. 1829 młody Krasiński opuścił Warszawę, Edward doczekał się w niej wojny. Z tych przygód młodzieńca nie wiele nas doszło szczegółów; wiemy tylko, że generał Henryk Kamiński na jego ręku wyzionął ducha, pod Ostrołęką, w dniu 25 maja 1831 r. Po skończonej kampanii, zimę spędził w Berlinie, uczęszczając na kursa filozofii. Wiadomo, że Hegel panował tu wszechpotężnie; choć młody wędrowiec nie zastał go przy życiu — uczony bowiem profesor umarł 14 listopada — ale zostawił licznych następców i komentatorów; sława też jego doktryny stała na wyżynach przez długi lat szereg, nie bacząc na protesta przeciwników. Jaroszyński gorąco rozmiłowany w heglizmie, pozostał mu wiernym; z czasem tylko starał się go nałamać, zastosować do swoich poglądów i przekonań religijnych. W listach do Krasińskiego często się o tem rozpisuje, jak się łatwo przekonać z odpowiedzi poety, z których choć jeden ustęp pozwalamy sobie przytoczyć tutaj: »Hegel, powiadasz, stał się gwiazdą twoją polarną, ruszoną tylko magnetycznie w stronę katolicyzmu, zresztą nieubłaganie zatknioną na niebie! A ja ci na to powiem, że Hegel wielkim jest, ale coś większego jeszcze znam od Hegla, to właśnie owo życie, które wszystko porywa, i kiedy Hegel pisał systema swoje, już zapewne z punktu heglowskiego ono skoczyło było dalej« [1]). Zdaje się, że Jaroszyński lat kilka spędził na wędrówce po Europie. Do kraju ledwie na chwilę zaglądał, bo oto w czerwcu 1833 r. spotykamy go znowu dążącego z Tywrowa do Wiednia, w towarzystwie brata Henryka i mentora, a razem lekarza, p. Kossowicza [2]). Ojciec stęskniony robił starania — by stały powrót syna, mógł bez wielkich przykrości nastąpić; ale kiedy przeszkody usunięto, dowiedział się, że ukochany jego zapadł na zdrowiu, że mu lekarze radzą spędzić resztę zimy we Włoszech, lato u wód w Niemczech, a w jesieni znowu za Apeniny wędrować. Istotnie, powietrze południowe orzeźwiło go; młodzieniec do sił powrócił. Odtąd Italia zachwycała go do tego stopnia, że ciągle marzył o niej; — »chorował na Włochy«, jak utrzymywał Krasiński, żartując z tych uniesień. Spotykali się też z sobą w tym czasie niejednokrotnie, bo i poeta po powrocie z Petersburga, także używał rozkoszy, jaką daje podróż, o której się dawno marzyło. W tym 1834 roku, pierwsze miesiące spędzają w Rzymie. Na uroczystości wielkanocne, zbiegło się sporo cudzoziemców, w ich liczbie i pani Bobrowa. Jaroszyński pośredniczył w poznaniu się jej z Krasińskim, jak o tem sam poeta później pod datą 1839 r. wspomina: »Boże! tego roku Wielkanoc znów 30 marca, jak temu lat pięć — a wy gdzie? Ona i ty, i Konstanty (Danielewicz)? Wy, trójca moja!« [3]).

Dobrze po świętach rozbiegli się wszyscy, z postanowieniem wrócenia w jesieni. P. Edward do Ems pojechał, pani Joanna do kraju. Krasiński w maju był we Florencyi, w lipcu w Kissingen, w sierpniu we Frankfurcie, w październiku w Medyolanie, a w listopadzie znowu w Rzymie. Tutaj już zastał Jaroszyńskiego i całe grono licznych znajomych, należących do bliższych albo dalszych tego ostatniego pokrewnych. Zjechał ojciec w towarzystwie starszego syna Henryka i córki Hortensyi, uszczęśliwiony, że ukochanego swego znalazł lepiej niż się spodziewał. Stawił się w tem kółku p. Franciszek Skibicki, późniejszy szambelan, a podówczas kurator honorowy szkoły żytomierskiej, posiadacz kawałka ziemi na Wo-

[1]) Listy Zyg. Krasińskiego. Tom I. (do Gaszyńskiego) 1882. T. II. (do Sołtana) 1883. — T. III. (do Słowackiego, Jaroszyńskiego, trzech Koźmianów i Br. Trentowskiego) 1884. — Do Stan. Małachowskiego 1885. Tom jeden; ostatni wydany w Krakowie, tamte we Lwowie.

[1]) Listy. III. 71.

[2]) Prywatna korespondencya.

[3]) Listy do Edw. Jaroszyńskiego, z rękopismu. Wierny odpis oryginału udzielony mi przez p. Adama Jaroszyńskiego. *(Przypisek autora).*

łyniu. Ożenił się on był z panną Heleną Drzewiecką, córką szefa, z pierwszego małżeństwa; że zaś drugą żoną szefa była siostra Edwarda Jaroszyńskiego, ztąd stosunek bliski, jakby powinowaty. Piękna żona kuratora, nosiła w piersi zarody strasznej choroby, która przedwczesną śmierć spowodowała. Wówczas to były jeszcze początki jej niezastraszające — początki, przerywane okresami względnego zdrowia, więc i ta kobieta, choć skazana na zgon nieubłagany — nie spodziewając się go wcale — wniosła do kółka włoskiego dużo życia i wesela, przypuszczając, że burza już zażegnana, bo też to włoskie powietrze tak zbawiennie na nią oddziaływało, a Rzym nęcił, zachwycał, kiedy się w nim było jakby u siebie, wśród swoich. Zjechała i piękna p. Joanna Bobrowa Piotrowicka, pokrewna przez męża Jaroszyńskich, żona bowiem p. Cesława z Bobrówny się rodziła. Naturalnie, że do grona ukraińskiego, jak je żartobliwie nazywano, należał i Zygmunt Krasiński, dziwny czar roztaczający do koła siebie, autor już wówczas niepośledniej miary, w wielkim sekrecie ukrywający swoje autorstwo, choć otoczenie dobrze o niem wiedziało; wesoły i smutny na przemiany, rozprawiający o zagadnieniach społecznych, o abstrakcyjnych kwestyach, z przekonywającym wdziękiem, z tym subtelnym urokiem rzeźbiarza, każdym niemal wyrazem określającego dosadnie przedmiot dyskusyi, a jednocześnie form eleganckich, znajomości świata wielkiej, szczególne względy posiadał pań naszych. Wiemy, że pani Bobrowa nie była mu już obcą. Powinowactwo — choć bardzo dalekie — może się przyczyniło do utrwalenia bliskiego i serdeczniejszego stosunku między 27-letnią ciotką i 23-letnim siostrzeńcem. Naturalnie, że z Krasińskim zjechał do Rzymu nieodstępny Danielewicz, artysta filozof, dawny, stały, do grobowej deski wypróbowany przyjaciel, a co nie mniej ważne, posiadający zaufanie ojca generała, bardzo pod tym względem wybrednego. Zjechał i poczciwy Dr. Sauvan, doglądający w ciągu lat kilku rozdrażnionego nerwowo i dotkniętego chorobą oczu poetę. W towarzystwie tem — dłużej albo krócej — gościli: generał Ludwik Pac, wybierający się na wschód, jakby tam szukał śmierci, która go wkrótce w Smyrnie spotkała; młody Litwin Otto Rajecki, rzewny, skromny, a wesoły kompan, uciekający od suchot, choć te go nie wypuściły ze swoich uścisków; Sołtyk, kapryszący, ale skory do ustępstw... i wielu a wielu innych. Zima była łagodna i ciepła w końcu 1834 r. w wiecznem mieście. Cały dzień wypełniały przechadzki. W nich Krasiński, jako obeznany z pamiątkami miejscowemi przyjmował na siebie rolę przewodnika. Wieczór spędzali albo w teatrze, albo u p. Cesława Jaroszyńskiego, dzieląc się wspomnieniami niedawno ubiegłych lat smutnych i wiadomościami skąpemi z kraju. Wesoło więc było na prawdę. Niekiedy młodzież gromadziła się w restauracyi Leprego, na pogadankę ożywioną. Krasiński, jakby ton stanowił. Wszystko się do niego garnęło — do tego stopnia, że służba, jego przedewszystkiem słuchała rozkazów, i tak przyzwyczajoną była do potraw ulubionych gościa, że potem, kiedy w lat kilka tu zawitał, przypomniała to sobie: »u Leprego — pisze do Sołtana — jak mnie ujrzał garson, zaraz krzyknął: *filetti di gallinacio* — i chór garsonów powtórzył: *filetti di gallinacio*. Jaka pamięć u tych Włochów« — dodaje na końcu [1]). Tutaj też przy kieliszku złocistego wina, układano projekty rozrywek. Poeta już wówczas uległ czarowi kobiety. Przypuszczać się godzi, że choć walczył z uczuciem, choć opędzał się mu, ale i pragnął go nieustannie. Naprowadza nas na tę myśl, ustęp jeden w liście do Gaszyńskiego, pisanym w listopadzie 1834 r.: »roją mi się fantasmata w sercu, niewymowne upragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało... O gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę; ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. Nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej; poznałaby mnie, byłaby mną i sobą zarazem. O! wtedy sam na sam ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem. Nie byłaby to Venus grecka, owszem w jej urodzie przebijałaby powaga Apollina Belwederskiego; ale wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkiemi, w łzy by się rozpłynęło przedemną. Dla mnie onaby śpiewała piosenkę dziecinną, dla innych straszną pieśń natchnienia« [2]). I w kilka miesięcy potem, zawsze z Rzymu, zawsze w tem otoczeniu, zawsze do tegoż przyjaciela cicha skarga, wynik może znużenia wywołanego walką przyciężką: »jabym już chciał zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów, i kilku chorób, która zowie się życiem mojem; jabym rad gdzie zasnął na wieki, czy u progu jakiego kościoła, czy na jakiej ruinie, byleby nie w łóżku. Ty byś kiedy zaszedł w te strony i usiadł na moim grobie! Przypomniałbyś sobie dzieciństwo, młodociane lata i żarty, i szumne nadzieje; przypomniałbyś sobie, że ktoś kochał cię szczerze kiedyś, gdzieś, i wstałbyś i rzekłbyś — *pokój jemu*« [3]).

JACEK MALCZEWSKI.



WOJTUŚ.

Tak się mówi, powtarzamy raz jeszcze, w chwili wielkich pragnień nieziszczonych, kiedy ziszczeniu temu tamę stawi, nie obojętność kobiety, ale poczucie obowiązku z jej strony; kiedy się czuje, że ona, ukochana, choć słaba a wątła, choć równie chciwa szczęścia na ziemi, ma jeszcze tyle siły, że się oprzeć powinna, oprzeć musi podszeptom pełnym czaru i niewysłowionej rozkoszy. Zdaje się nam, że listy owe są wytyczną wskazówką początkującego szału, który

[1]) Listy. II. 137.
[2]) Listy. I. 59.
[3]) Listy. I. 62.

WOJCIECH KOSSAK.



ZAPROSZENIE DO PAŁACU ELYSÉE.

potem kulą ołowiu zaciężył na przyszłości dwojga tych ludzi. On po latach walki, otrząsł się, i przy boku nowej Beatryczy, popłynął w świat inny, ona ze złamanemi skrzydły pokorna gołębica, została na na całe długie życie samotna, z nieschodzącym z jej bladego a wyniosłego czoła stygmatem żałoby. Ale wówczas w Rzymie, wszyscy członkowie kolonii, przeniesionej przeważnie z pól ukrainnych, pełni byli otuchy. Gospodarz cieszył się nadzieją, że syna — po długich latach — będzie mógł widzieć znowu pod swoją strzechą; syn ten filozofował potroszę z Danielewiczem. Danielewicz poza Heglem, kochał jeszcze muzykę; grał przepięknie na fortepianie. Pani Skibicka i młody Rajecki tuszyli sobie, że chorobę tu zostawią, że za Apeniny, do domu nie zabiorą jej wcale; pani Joanna, trując się miłością, jeszcze się jej opędzać starała; poeta, nie oglądając się na jutro, korzystał z chwili, już samo pragnienie szczęścia, nadzieja, a może i pewność wzajemności były dla niego wielką rozkoszą — a miał i powiernika, właśnie pana Edwarda, któremu się niechybnie z uczuć swoich spowiadał... Słowem, grono owo kończyło rok pański 1834 pod najpomyślniejszemi auspicyami. Nim atoli dalsze dzieje dni wyżej zaznaczonych — chwil dość ważnych w życiu Zygmunta i jego przyjaciela — opowiemy, poznajmy bliżej kobietę, przedmiot jego uniesień i zachwytów.

Pan Józef Morzkowski, chorąży podlaski, podstarości żytomirski, instrumentowany na ten urząd przez starostę Ilińskiego, należał do najpopularniejszych osobistości w południowych naszych prowincyach, w końcu ubiegłego i początku dzisiejszego wieku. Człowiek nowy, wychowaniec podskarbiego Tyzenhauza, potem skromny urzędnik w kancelaryi sejmowej, w wydziale wydającym sancita na komisye, wyrósł nagle w epoce bankructw, jako zręczny a sumienny organizator sądów zjazdowych. W roku 1786 stanął na czele interesów Ponińskiego, reprezentujących 83,000.000 zł. *activów*. W pięć lat je ukończył, bardzo szczęśliwie; z kolei przystąpił do rozbioru dóbr Prota Potockiego, i ten w ciągu dwóch lat przyprowadził do porządku. Praca była ogromna, ale też i wynagrodzenie nie lada jakie, bo po dukacie od tysiąca złotych. Ztąd początek jego fortuny; nic mu wszakże nie mogli zarzucić współcześni, a Duklan Ochocki, zjadliwie rzucający się na wszystkich, Morzkowskiemu oddaje sprawiedliwość: »zostawił on wprawdzie — powiada tylko co wzmiankowany autor — czternaście milionów, ale nikt powiedzieć nie może, żeby ten nabytek z czyjąkolwiek przyszedł szkodą, wydarty był podstępem, lub wymożony przemocą« [1]). Pan podstarosta nie posiadał odznaczającego się wychowania, znał tylko języki polski i łaciński, »ale łacinnik był tęgi«, a prawo umiał w praktyce zastosować; z tego powodu szlachta go powołała na wysoki urząd prezesa trybunału cywilnego w Kijowie, w pierwszej chwili utworzenia tej instytucyi, to jest w ostatnich latach zeszłego wieku. Na urzędzie pozostał do zgonu, który nastąpił w 1829 r.: »od wstąpienia na tron cesarza Pawła, nie było ani jednego dekretu jego, któregoby senat nie potwierdził« [2]). Urzędnik prawy, dbał o honor ziemian, jako ich reprezentant, ztąd drażliwsze wniesienia, manifesty i remanifesty, mogące ubliżać, jednej ze stron powaśnionych, zwykle pod własną przechowywał pieczęcią. Do rzędu takich dokumentów należały skargi Szczęsnego Potockiego i Antoniego Złotnickiego, którzy powaśniwszy się o dzierżawę, obrzucali siebie błotem wzajemnie, odsłaniając smutne i zbyt bolesne szczegóły, ostatniej dotyczące konfederacyi [1]). Otóż prezes posiadał ogólną estymę, wielce miłował bliższą i dalszą rodzinę; ściągnął ją tutaj z Podlasia, okalał opieką, pomagał, dobrodziejstwował nieledwie. Brat jego Franciszek, marszałkował w Żytomierzu w 1821 roku, a siostrzeńców bliższych i dalszych pełno siedziało na urzędach. Ożenił się pan prezes, już w wieku statecznym, na początku niniejszego stulecia, z Hańską, także pochodzącą z gniazda wydostającego się na wyżyny. Czy panna mu wniosła posag?... nie wiemy; choć ojciec jej znaczny posiadał majątek, a i popularność niemałą, piastował bowiem 1811—1814 urząd gubernialnego wołyńskiego marszałka. Morzkowscy założyli rezydencyę w Chodorkowie, nabytym u Kajetana Świdzińskiego, kasztelanica radomskiego. I dziwna rzecz, człowiek umiejący wszystkim radzić, nabytkiem owym wplątał się w proces zawiły, ukończony niepomyślnie, wprawdzie po jego dopiero zgonie [3]). Synów nie mieli, tylko trzy córki, które łatwo znalazły odpowiednie partye, już choćby wskutek zasług rodzica, i wielkiego wiana, wynoszącego dla każdej po 4,000.000 zł. pol. Przynajmniej tak utrzymuje Ochocki. Jedna, Józefa, wyszła za ks. Karola Jabłonowskiego, dziedzica na Ostrogu, a była drugą jego żoną; Cecylia za księcia Radziwiłła, brata generałowej Wincentowej Krąsińskiej (z jednego ojca, a nie z jednej matki), trzecia Joanna za Teodora Bobra Piotrowickiego, który podówczas należał do bogatszych właścicieli Wołynia. O tej właśnie trzeciej mówić tu chcemy; dla jej bliższego poznania skreśliliśmy ten pobieżny szkic genealogiczny. Joanna przyszła na świat w roku 1807. Wychowanie musiała otrzymać zwykłe, stosownie do wymagań ówczesnych, zasadzające się na powierzchownej ogładzie, grze na fortepianie, bo ten właśnie w modę wchodził, i na znajomości francuskiego języka. O ostatni tak dbano w naszych domach zamożniejszych, że dla niego poświęcano wiele. I panny Morzkowskie utartą koleją chowano, z krzywdą dla ojczystej mowy, nie bacząc na to, że ojciec oprócz łaciny, nie znał innego narzecza. Matka znowu, pamiętająca dobrze pobyt Kondeusza na Wołyniu, takiego upodobania nabrała do cudzoziemczyzny, że cały dwór prezesa osadziła emigrantami z nad Sekwany, poczynając od stangretów i lokajów, a kończąc na wyższych oficyalistach. Mąż wprawdzie sarkał, nazywając otoczenie »istną wieżą Babel«, ale ulegał kobiecie, upatrującej w tem przeobrażeniu szczęście dla dzieci w przyszłości. I stało się, że panienki nie mówiły prawie po polsku. Co zniewoliło rodziców do wydania córki za Bobra, nie umiemy powiedzieć. Z połączeń dwóch starszych, wnosićby można, że szło im bardzo o związki z pierwszemi rodzinami, a Bobrowie do takich nie liczyli się jeszcze. Cicho o nich w dziejach, jednę tylko wzmiankę spotykamy w XVII w. i to jako o bardzo skromnej rodzinie, należącej do rozrosłego gniazda szlachty

---

[1]) Pamiętniki. I. 89.
[2]) Ochocki. l. c. I. 89.
[1]) Chrząszczewski. Pamiętniki, rękopism. — Drzewiecki. Reszta pamiętników. II. 346.
[3]) Rulikowski. Słownik geograficzny.

owruckiej [1]). W zeszłem stóleciu, są to już drobni urzędnicy w województwie bracławskiem. Pierwszym luminarzem rodu jest pan Ignacy Bóbr Piotrowicki h. Pilawa, cześnik bracławski, zmarły w 1769 roku. Ożeniony on był z Anną Chomętowską, kasztelanką czechowską, wdową po dwóch małżonkach (Rohozie i Kuczewskim). Zostawił z nią liczne potomstwo i piękny grosz, którego się dorobił na zastawnych dzierżawach w dobrach ks. Marcina Lubomirskiego, wojewody kijowskiego, księcia Sanguszki, ordynata ostrogskiego, Mikołaja Piaskowskiego, podkomorzego krzemienieckiego, bogatych indygenów, znanych z nieopatrznego utracyuszostwa, albo obłędu umysłowego. W owej epoce całe rojowisko drobiazgu szlacheckiego zdobywało w ten sposób fortunę, a z nią i pewne znaczenie. Lada odrobina gotowego grosza dawała ogromne zyski, taka w tych dynastach do trwonienia żądza się wyrobiła. Skromny cześnik bracławski, umiał skorzystać z okoliczności. Nie był on lepszy ni gorszy od innych, chyba tylko szczęśliwszy. Jeden z najmłodszych jego synów, Kajetan, kształcił się w Warszawie, już na modłę cudzoziemską; w roku 1766 komisarz do rozgraniczenia województwa kijowskiego z bracławskiem, następnie o wojskowe ubiega się godności; z chorążego buławy polnej koronnej, generał wojsk polskich, naturalnie »nieamplojowany«, to jest honorowy; kawaler orderu św. Stanisława; dziedzic na Czepielówce, Wolicy, do których przybyły z kolei, Zahajce wielkie i małe, Temnohajce i t. d. [2]). Wnukiem tego ostatniego, był właśnie pan Teodor Bóbr Piotrowicki, urodzony w końcu zeszłego wieku, wielkiej fortuny pan, wielkiej ogłady, zręczny, ugrzeczniony a butny, gościnny a przestrzegający etykiety prawie dworskiej — słowem, typ bogatego indygena, z kolei przedzierzgniętego w dygnitarza. W Zahajcach urządził prześliczną rezydencyę. Stecki w swojej po Wołyniu podróży, tak ją odmalował w 1864 r.: »wieś duża, a w niej obszerny z pawilonami pałac, okazałe murowane budowle dworskie, komin od cukrowni, widok niezwykły na Wołyniu, przynajmniej w tej jego części, a nareszcie ogromna murowana cerkiew i takiż przy niej monastyr. To Zahajce, przed laty kilku wesołe, licznemi gośćmi zaludniona rezydencya p. Teodora Bobra... Dziś i tu groby — cicho, pustka — wyludniono..... Dla nas Wołyniaków, Zahajce zawsze miłą z przeszłości pozostaną pamiątką, któż bowiem serdecznie nie kochał ich gospodarzy, kto ich serdeczną gościnę zapomni?« [1]).

Do takiego to gniazda, przyozdobionego z przepychem, wprowadził p. Teodor swoją małżonkę. Daty ślubowin nie mamy, musiały one wszakże nastąpić na początku 1825 r. bo w lipcu tego roku, prezentowała się pani Joanna w Sofijówce pod Humaniem, jako mężatka, zwracając uwagę wszystkich swoją niezwykłą urodą. A tłumy publiczności, na owego św. Piotra, były tak znaczne, że przybysze »opłacali po kilkadziesiąt rubli chatkę do przenocowania«. I te tłumy, jak w jasną tęczę, wpatrywały się w twarz przedziwnie pięknej pani, której honory gospodarza domu robił hr. Aleksander Potocki, królewskie jej niejako składając hołdy [2]). Słuszna, szczupła, bladej twarzy, o rysach klasycznych, posągowo wyglądała — a posąg ten czarował, kiedy pod wpływem rozmowy ożywiał się, kiedy na ustach osiadał dziwnie wdzięczny uśmiech, a jednocześnie w oczach tęsknota czy pożądanie nieziszczonego szczęścia widniało. Z luźnych, oderwanych wspomnień współczesnych, kreślimy obraz, więc jest niedokładnym, brak mu jednolitości — o nią nam wszakże nie idzie, fantazyą nie chcemy się posługiwać. Tajemnic pożycia owej pary, związanej »wzajemną inklinacyą« nie posiadamy. Powszechnie utrzymywano, że dla siebie byli stworzeni, że nic im nie brakowało do pomyślności zobopólnej, pani tylko nie domagała — i z racyi tej musiała się wychylać często za granicę. Pobudki te same zniewoliły ją szukać zdrowia pod ciepłem niebem Italii. Na początku zimy 1834 roku pośpieszyła do Rzymu. Ciągnęło ją tam prócz piękności i zabytków — towarzystwo polskie, a jakto wyżej już zaznaczyliśmy, bliskie i przyjemne zarazem.

[1]) Arch. J. Z. R. IV. I. 815.
[2]) Archiwum po Brunonie Kamińskim, generał-adjutancie buławy polnej koronnej.

[1]) Wołyń. Serya 2. 426.
[2]) Drzewiecki. Reszta pamiętników. II. 361.

(Dalszy ciąg nastąpi). DR. ANTONI J.

TEODOR DOSTOJEWSKI.

(Ciąg dalszy).

Pozostawienie Teodora na drugi rok w tej samej klasie, skłonny do rozmyślań umysł młodzieńca skierowało ku filozoficznym zadaniom. »Co rozumiesz — pisał do brata — pod wyrazem *wiedzieć?* Poznać przyrodę, duszę, Boga, miłość... *Wszystko to sercem się poznaje, ale nie rozumem...* Rozum — zdolność materyalna... dusza zaś czyli duch żyje myślą, którą jej serce poddaje«... Podkreślone zdanie najlepiej charakteryzuje Dostojewskiego, który odtąd dopiero zaczyna na seryo rozmyślać o przyszłości, a chociaż niewyraźnie bardzo, ale stale już marzy o późniejszej swej działalności... W jednym z listów do brata czytamy: »Bracie, smutno żyć bez nadziei... Wpatruję się w przyszłość, która mnie przestrasza... Już od dawna nie doznawałem wstrząśnień natchnienia... natomiast często bywam w takim stanie, w jakim — pamiętasz? — był więzień Chillonu po śmierci swych braci w ciemnicy... Słuchaj! zdaje mi się, że sława również przyczynia się do wywołania poetycznego natchnienia. Byron był egoistą; jego myśl o sławie była marna, nędzna!... Ale sama myśl o tem, że kiedyś po twym zachwycie wyrwie się z duszy czysta, piękna i wielka myśl, że natchnienie, jak sakrament niebieski, poświęci stronice, nad któremi tyś płakał i potomstwo płakać będzie... nie sądzę, ażeby ta myśl nie zakradała się do duszy poety nawet w chwilach twórczości samej...« Wyrazy powyższe zdradzają tego, który je pisał. Wprawdzie nie marzył on o porzuceniu szkoły, ażeby się poświęcić literaturze, nie marzył nawet o niej na seryo, ale pragnął pracować na innem polu; niemiłą mu była niwa, którą uprawiać był obowiązany.

Nie przeczuwał wcale, że ma talent; przeciwnie — nie wierzył, aby go posiadał. Drażliwość wrodzona wytwarzała w sercu jego pewien rodzaj zazdrości; pewności siebie nie miał wcale.

Teodor Dostojewski przebywał w szkole inżynierów od 1838 do 1841 roka. Przez cały ten czas unikał kolegów, z pośród których wybrał tylko dwóch przyjaciół. Byli nimi niejaki Bereżecki i Szydłowski. Trzej młodzieńcy uchylali się od wspólnych zabaw, nie chcieli uczyć się tańczyć, a Dostojewski uchodził za »dziwaka«, z którego z początku koledzy się śmiali, a następnie nie zwracali nań najmniejszej uwagi. Z Bereżeckim puszczał się on na fale filozoficznych rozmyślań, z Szydłowskim, który sam był poetą, rozprawiał o poezyi.

W 1839 roku zmarł ojciec Dostojewskiego w Moskwie. Zasmuciło to obydwóch braci. Opiekunem nieletnich został mąż starszej ich siostry p. Karepin. Zmiany jednak żadnej w losach naszych młodzieńców śmierć ojca nie wywołała.

Jakkolwiek nie mamy pewnych wiadomości co pisał Dostojewski między 1838 i 1841 rokiem, wnioskować jednak mamy prawo, że pisać musiał wiele, gdyż, jak świadczą jego koledzy, całe noce trawił na czytaniu i pisaniu. Z pewnych wskazówek sądzić nawet należy, że powieść »Biedni ludzie« została napisaną i wielokrotnie przerabianą w tym czasie. Nie możemy, nie posiadając świadectw właściwych, twierdzić, ażeby powieść ta w szkole wykończoną była ostatecznie, nie ulega jednak wątpliwości, że tam została poczętą.

Przy schyłku 1840 roku przyjechał z Rewla do Petersburga Michał Dostojewski w celu składania egzaminu na pierwszą rangę inżynierską. Egzamin zdał dobrze i otrzymał rangę oficerską w styczniu następnego 1841 roku, a w lutym znów Petersburg opuścił. Przed wyjazdem dla znajomych i przyjaciół wydał ucztę pożegnalną, na której i Teodor był obecny. Wspominam o niej, gdyż na uczcie tej Dostojewski czytał wyjątki z pierwszych swych prób dramatycznych: »Maryi Stuart« i »Borysa Godunowa«. Z prac tych nic nie ocalało, chociaż »Maryę Stuart« obrabiał jeszcze młody autor i w następnym 1842 roku.

Zgodnie z wolą ojca tak jeden brat jak i drugi mieli dostawać po otrzymaniu rang oficerskich po 4000 rs. asygnacyjnych rocznie. Gdy jednak Michał w czasie pobytu w Rewlu zakochał się w pannie Emilii Ditmar i chciał się z nią ożenić, co p. Karepinowi bardzo się nie podobało, ten ostatni odmówił wysyłania pieniędzy. Nie przeszkodziło to jednak ożenieniu się Michała, któremu Teodor — już podówczas oficer — o ile mógł i jak mógł pomagał. W dodatku przy Teodorze mieszkał młodszy jego brat Andrzej, przygotowujący się do szkoły budownictwa. Jak z tego widzimy wszyscy trzej bracia mimo względnego dobrobytu pędzili wcale nie wesoły żywot. Teodor jako oficer uczęszczał na t. zw. oficerskie wykłady w ciągu 1841 r. W d. 11 sierpnia 1842 r. został promowany na ostatni, wyższy kurs. Ogółem roczny dochód Teodora, jak świadczy przyjaciel jego, doktor Riesenkampf, wynosił około 5000 rs. asygnacyjnych. Mimo to nie miał nigdy grosza przy duszy, zaciągał długi, które wzrastały szybko. Pochodziło to jedynie ztąd, że Dostojewski tak wówczas jak i przez całe życie nie umiał się z pieniędzmi obchodzić. Po prostu nie znał ich wartości, nie cenił je wcale. Nareszcie 12 sierpnia 1843 roku przyszły autor tylu pięknych utworów ukończył całkowicie kursa oficerskie i zaliczony został jako rysownik przy departamencie inżynieryi. Od tej chwili zaczynają się rwać pajęcze nici, wiążące obowiązkowe rysowanie z pisaniem powieści. Młody inżynier coraz bardziej —

WŁADYSŁAW DIETRICH.



WILCZE WIRCHY W TATRACH.



Most Karola w Pradze w d. 8 września b. r.

uczuwał ciężar niemiłej mu pracy, aż nareszcie bez żalu porzucił ją zupełnie i na zawsze.

III.

Po roku 1842 przez lat parę Teodor Dostojewski prowadził życie bez jutra. Pieniądze nieraz nawet znaczne, jakie posiadał, szybko wydawał. Teatr, koncerty Liszta, balet, który namiętnie wówczas lubił, bilard, a nareszcie wykwintne obiady w najlepszych restauracyach pochłaniały wszystkie dochody. Młody oficer inżynieryi był tak łatwowierny, że go wszyscy oszukiwali, począwszy od własnego lokaja. W listach do brata skarży się ciągle na dotkliwy brak monety. Marzy ciągle o jakiemś przedsiębiorstwie literackiem, namawia go do przekładu »Don-Carlosa« Szyllera, sam tłumaczy Balzaca »Emilię Grandet«, chce to wszystko wydać własnym nakładem, ale nic mu się nie udaje. Ciągły brak pieniędzy staje mu na przeszkodzie. Bezład codziennego życia daje mu się czuć na każdym kroku, chociaż zaradzić złemu nie może. Obowiązkowe zajęcia w departamencie męczą go i nużą, chociaż porzucić się je boi, gdyż w takim razie opiekun, p. Karepin, natychmiast zawiesiłby wypłatę 4000 rs. asyg. rocznej pensyi. Z tego samego już wnosić można, że Dostojewski wówczas pędził żywot bardzo niewesoły. Brat jego Michał, ciągle przebywający w Rewlu — wbrew woli opiekuna już żonaty, więc pozbawiony 4000 rs. asyg. — pojmuje doskonale położenie Teodora i radby mu z całej duszy dopomódz. Korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, namawia Dra Riesenkampfa, który tylko co studya ukończył, ażeby zamieszkał razem z Teodorem. Obydwie strony chętnie się na to zgadzają. Nie wiele to jednak pomogło. Teodor Dostojewski — mieszkając z doktorem biednych — znalazł obszerne pole do wydatków. Zaznajomił się ze wszystkimi pacyentami swego przyjaciela, zapraszał ich do siebie, całe wieczory spędzał z nimi i w rezultacie obdarowywał pieniędzmi, których sam posiadał nie wiele. Gdy zwracano jego uwagę na niewłaściwość podobnego postępowania, zasłaniał się koniecznością badania ludzi, których opisywać zamierzał. Jeden z pacyentów Riesenkampfa, nicpoń wielki, niejaki Keler, szczególniejszą na siebie zwrócił uwagę Dostojewskiego, który go karmił i poił całe tygodnie. Keler przez wdzięczność opowiadał mu swoje i swych przyjaciół przygody życia, a wiele z opowieści tych *mutatis mutandis* zamieścił znakomity powieściopisarz w swych późniejszych pracach.

Podajemy tu jeden z wielu epizodów: który we wspomnieniach swych przechował Dr. Riesenkampf. Na początku lutego 1844 roku otrzymał Dostojewski z Moskwy 1000 rs. asyg. a tegoż samego dnia pod wieczór miał tylko 100 rs. Na nieszczęście wieczorem poszedł na kolacyę do restauracyi Dominika i ciekawie przyglądał się grze bilardowej. Ktoś z obecnych zbliżył się do niego i rozpoczął z nim rozmowę. Między innemi wskazał na jednego z grających, jako na znanego szulera, który całą służbę restauracyjną przekupił. »Inna rzecz domino — zakończył nieznajomy — gra niewinna, szlachetna«. Dostojewski zapałał chęcią nauczenia się gry w domino, ale za lekcyę drogo zapłacił. Po przegraniu 25 partyj wręczył nauczycielowi ostatnie sto rubli. Nazajutrz — dodaje Dr. Riesenkampf — nie było w domu ani grosza na herbatę, cukier i t. p. Potrzeba więc zmusiła Dostojewskiego do zaciągnięcia pożyczki u lichwiarzy na bajeczny procent.

Wkrótce Dr. Riesenkampf wyjechał z Petersburga nie przyuczywszy przyjaciela do systematyczności i porządku.

We wrześniu 1844 r. Dostojewski podał się do dymisyi pomimo położenia, świadczącego najlepiej o jego niepraktyczności. »Podałem się do dymisyi, bo przysięgam ci, że dłużej już służyć nie mogłem — pisze do brata. — Po co mam tracić najlepsze lata? A nakoniec, rzecz główna: chcieli mnie posłać na prowincyę — cóżbym począł bez Petersburga?... Chleba kawałek znajdę prędko. Piekielnie będę pracował. Teraz jestem wolny.« Po spisaniu całej litanii długów w tym samym liście Dostojewski dodaje: »Nikt nie wie, że służbę porzucam... Nie mam ani grosza na ubranie. 14 października będę już miał dymisyę. Jeśli... z Moskwy się spóźnią (opiekun) z nadesłaniem pieniędzy — zginę. Najuroczyściej wpakują mnie do więzienia. To rzecz jasna.« Nareszcie na początku 1845 r. prawdopodobnie pod naciskiem niezaspokojonych najkonieczniejszych potrzeb Teodor Dostojewski zabrał się do przygotowania do druku dawno już napisanej i leżącej w biurku powieści »Biedni ludzie«, którą pragnął własnym wydać kosztem. Jak starannie pierwsze to swoje dziecię przystrajał, jak pragnął, ażeby ono dobrze się czytelnikom przedstawiło, świadczą znowu listy jego pisane do Michała. W jednym z nich (z d. 24 marca 1845 r.) czytamy: »Romans mój skończyłem w listopadzie (1844 r.), ale w grudniu postanowiłem go całkiem przerobić; przerobiłem i przepisałem, ale w lutym (1845 r.) zacząłem go znów czyścić, ogładzać, całe ustępy weń wstawiać i wykreślać.« Do jesieni nie mógł się zdecydować, czy ma swój romans drukować własnym kosztem, czyli też go oddać do jednego z czasopism miejscowych. Odradzano mu pierwsze, na drugie namawiano. Zanim jednak przyszła jesień, Dostojewski znów swych »Biednych ludzi« przerobił. »Ten mój romans — pisze do brata 4 maja 1845 r. — tyle kosztuje mnie pracy, że gdybym wiedział o tem dawniej, wcale bym go pisać nie zaczynał. Zamyśliłem jeszcze raz go poprawić i, daję słowo, na lepsze mu to wyjdzie.« Po długich rozmyślaniach zdecydował się nareszcie dzieło swoje oddać redakcyi *Oteczestwennych Zapisok*. Jak ciężkie były warunki, wśród których poprawiał i przerabiał pierwsze swoje dzieło, najlepszy dowód znajdujemy w przypisku do jednego z listów pisanych do brata: »jeśli nie będę mógł nic zrobić z romansu, może być, że rzucę się do Newy. Cóż robić?«

Znany i ceniony pisarz Grygorowicz — którego dzieła w zupełnem wydaniu wyszły niedawno — kolegował w szkole inżynierów z Teodorem. Z początku Dostojewski nie wchodził z nim w bliższą zażyłość, później jednak na ostatnich kursach zaprzyjaźnili się. Grygorowicz należał do zamożnej młodzieży, kręcił się w wyższych sferach towarzyskich stolicy, dzięki jednak głębokiemu do literatury zamiłowaniu żył w bliższych stosunkach z poetą Niekrasowem, wielu artystami i pisarzami. Był on jedynym, rzec można, człowiekiem, który odwiedzał Dostojewskiego. On to go zaznajomił z Niekrasowem i doradził, ażeby mu oddał rękopism »Biednych ludzi« dla umieszczenia w roczniku literackim przez tego ostatniego przygotowanym do druku. Teodor oddał swoje dzieło... i z drżeniem serca oczekiwał wyroku. Wie-

czorem tegoż dnia udał się do jednego z kolegów i noc całą tam przepędził. Nad ranem dopiero, około godziny 4 powrócił do domu. Spać jednak nie mógł. Otworzył okno — a noc była ciepła — i marząc o swych losach przyszłych wpatrywał się w brzaski jutrzenki. W tem ktoś do drzwi zapukał, potem w przedpokoju rozległ się odgłos dzwonka, szarpniętego niecierpliwą ręką. Po chwili wbiegli do pokoju Niekrasow i Grygorowicz, rzucili się na szyję wątpiącemu o sobie autorowi »Biednych ludzi« i winszowali mu tego utworu. Rzecz się wkrótce wyjaśniła: Niekrasow i Grygorowicz wieczorem w dniu, w którym Dostojewski oddał im swój rękopism, zaczęli go przeglądać, ażeby »po pierwszych dziesięciu stronicach przekonać się czy warto czytać dalej«. Po dziesięciu jednak przeczytali następnych dziesięć i w ten sposób zapoznali się z całością, która ich w zachwyt wprawiła. Bielińskiemu, którego najwięcej obawiał się Dostojewski, powieść się podobała, Autor nie posiadał się z radości. »Biedni ludzie« po raz pierwszy ukazali się w wydawanym przez Niekrasowa *Petersburskim Sborniku* na rok 1846. Autor do tego czasu musiał zadawalniać się rozkoszami moralnemi, powodzeniem, które pieczęcią swojej powagi zatwierdził Bieliński. Pieniędzy nie było zaś jak i dawniej. Czasu więc tracić nie mógł i już w lecie 1845 roku zaczął pisać nową powieść, której później dał tytuł »*Dwojnik*«. W liście z d. 8 października t. r. donosi, że swego »*Goladkina*« (taki miał być tytuł »*Dwojnika*«) sprzeda co najmniej za 1500 rs. asyg. W tymże liście znajdujemy wiadomość, że za »Biednych ludzi« Niekrasow dał 150 rs., a później dodał jeszcze 100 rs., znajdując, że 150 rs. jest »zapłatą niechrześcijańską«. Zanim zdołano jeszcze obiedwie powieści drukiem ogłosić, a więc zanim publiczność mogła je ocenić, sławę Dostojewskiego utwierdzali wśród szerszych kół tacy ludzie wpływowi jak: Niekrasow, Grygorowicz, a głównie Bieliński.

Młody pisarz pod wpływem pochwał, które się nań zewsząd sypały, stracił wszelką miarę własnej wartości. Zdumniał... i tak o sobie wysokiego nabrał przekonania, że stanowczo — na mocy doświadczenia tylu innych niemniej utalentowanych — dziś można twierdzić, że gdyby dalej kroczył tą drogą, zaszedłby był bardzo niedaleko. Coraz powierzchowniej na świat spoglądał, coraz więcej liczył na swoje siły, a tymczasem wszystko, co w owym przeciągu czasu stworzył (1846—48) nie posiada wysokiej wartości. Są to po większej części powiastki drobne. Z wyjątkiem dwóch trochę większych »*Nietoczka Niezwanowa*« i »Białe noce«, oraz maleńkiego obrazka na oklepany temat »Choinka i ślub« — reszta zaledwo średnią posiada wartość. W listach Dostojewskiego znajdujemy jaskrawe dowody przesadzonego o sobie mniemania... »Biedni ludzie«, jakkolwiek jeszcze nie wydrukowani, sławę moją doprowadzili do zenitu...« (16 listopada 1845 r.). »*Goladkin*« przepyszny, będzie to moje arcydzieło«... »Wszyscy nasi, a nawet Bieliński znajdują, że o wiele przewyższam Gogola«... O »Goladkinie« pisze: »Nasi mówią, że jest dziesięć razy lepszy od »Martwych dusz« (Gogola)«... Z utworów, jakie w tym okresie powstały, widać, że Dostojewski pracował gorączkowo, że się spieszył; szło mu widocznie więcej o ilość, jak o jakość. Snać przekonanym być musiał, że co z pod jego pióra wyjdzie doskonałem być powinno. Od 1846 do 1849 r. a więc w przeciągu lat trzech ogłosił drukiem następujące utwory: »Biedni ludzie« w 1846 r. w *Petersb. Sborniku*, »*Dwojnik*« t. r. w *Oteczestwennych Zapiskach*, »Pan Procharczyn« t. r. i tamże »Romans w dziewięciu listach« 1847 r. w *Sowremenniku*, »Gospodyni« w 1847 r. w *Oteczestwennych Zapiskach*, »*Połzunkow*« w 1848 r. w »Illustr. Almanachu« wyd. przez Panajewa i Niekrasowa, »Słabe serce« 1848 r. w *Oteczestw. Zap.*, »Cudza żona i mąż pod łóżkiem« t. r. w *Oteczestwen. Zap.*, »Szlachetny złodziej« t. r. w *Oteczestw. Zap.* i »Choinka i ślub« t. r. i tamże. W końcu 1848 r. większą zamieścił powieść »Białe noce« w *Otecz Zap.*, w których w 1849 r. znajdujemy »*Nietoczkę Niezwanową*«. Do tego okresu należy także bardzo piękny obrazek p. t. »Mały bohater« nakreślony w 1849 r. ale ogłoszony drukiem dopiero w 1858 r. w *Otecz. Zap.* Wszystkie powyższe utwory, nawet najlepsze z nich, zdradzają pośpiech w tworzeniu. Autor ich w latach późniejszych sam oświadczył, że jakkolwiek bolał nad temi »niewykończonemi utworami«, spieszyć się musiał, gdyż najwięcej chodziło mu o to, ażeby »podziałać na słuchaczów i myśl swoją wywnętrzyć«. Dla tego właśnie zwróciłem uwagę na początku tego studyum na to, że Dostojewski formę powieści wybrał dla tego, że inna — odpowiedniejsza do rychłego przelewania myśli na papier — wówczas nie istniała. Zaledwie okoliczności dały mu możność działania na drodze publicystycznej, chwycił się jej obu rękami i wówczas to powiedział: »Dziennik jest rzeczą wielką!« chociaż nigdy i nigdzie nie wyrzekł tego o powieści i romansie.

HENRYK GLIŃSKI.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z CZĘŚCI DRUGIEJ »FAUSTA«.

Faust, który w akcie pierwszym ujrzał Helenę, zachwycony jej pięknością, postanawia ją odnaleźć.

(Przybywa Penej [2]), otoczony Strumieniami i Nimfami).

PENEJ.

Szeptem porusz się wiklino,
Tchnij łagodnie bratnia trzcino,
Gwarzcie lekkie wierzby kiście,
Drgajcie zcicha topol liście,
Gwar wasz przerwał nasze sny.
Groźne słyszę zdala grzmoty,
Jakieś w głębi wód łoskoty,
Fala pieni się i drży.

[2]) Rzeka Penej, w Tesalii, płynie między górami Osą i Pelionem, zraszając dolinę Tempe. Göthe uosabia tę rzekę w poemacie swoim. *(Przyp. tłumacza).*

* W przedmowie do mego przekładu części pierwszej »Fausta« Göthe'go wyraziłem przekonanie, że przyswojenie językowi naszemu *całej* części drugiej poematu, jako przepełnionej niezrozumiałemi alegoryami i mistyczną plątaniną, jest trudem bezpożytecznym. Przekonania tego nie zmieniłem i teraz; nie mogłem jednak oprzeć się pokusie przetłumaczenia i z tej części kilka ustępów, wysokiej niezaprzeczonej piękności lirycznej. Oto jeden z tych urywków. *(Przyp. tłumacza).*

FAUST (przystępując).

Jeśli słuch mię nie zawodzi,
To gałęzi tych gęstwina,
Ta liściasta plątanina
Jakieś dźwięki ludzkie płodzi.
Fala zda się nieść pieszczoty,
Wietrzyk niby figle, psoty.

NIMFY (do Fausta).

Podobno tu będzie
Odpocząć najlepiej;
Znużone twe członki
Chłód miły pokrzepi
I doznasz wywczasu,
Gdy Nimfy cię strzegą;
My szumem i pluskiem
Rozmarzym śpiącego.

FAUST.

Wszak nie śpię... Mkną w powabnej szacie
Nieporównane te postacie
Tam, kędy wzrok mój tęskny tkwi.
Cudownie coś mnie rozpłomienia,
Czy sny to, czyli też wspomnienia,
Co niegdyś już jaśniały mi?

Strumyków rzesza cicho płynie
Ku lekko gnącej się gęstwinie,
Nie szumią, ledwo sączą się;
Lecz źródeł setki wytryskują,
Jednoczą się i razem snują,
Zlewając w kąpiel wody swe.

Niewiasty jędrne, zdrowe, młode
Odzwierciedlają swą urodę
W chłodzącej toni: istny cud!
A potem kąpiąc się wesoło,
To płynąc, to znów brodząc wkoło,
Staczają walki w falach wód,

Poprzestaćbym powinien na tem,
Co widzę tu na tle bogatem,
Lecz myśl w uporze swoim trwa.
Wzrok sięga po za kres przestrzeni,
Gdzie w wybujałej tej zieleni
Schronienie swe królowa ma.

*

Dziwo! żwawe wnet łabędzie
Z zatok wypływają wszędzie,
Towarzysko łączą się
I majestatycznie, cicho,
Ale z dziwną jakąś pychą,
Głowę, szyję każdy gnie.
Jeden, zda się, przed innemi
Wdzięki pawi się własnemi,
Bo wyprzedził stado swe;
Nastrzępiwszy puch wspaniale,
Sam jak fala, pruje fale,
Ku świętemu miejscu mknie.

*

A inne tam i nazad płyną,
Wspaniałą suną w dal drużyną
I postrach na dziewczęta szlą,
By w trwodze snadź zapamiętałej
Niepomne obowiązku, dbały,
O własną tylko całość swą.

Faust, szukając Heleny, spotyka Chirona, jednego z Centaurów, i oddaje mu się w opiekę. Chiron przenosi go przez rzekę tam, gdzie z jednej strony widać Penej, z drugiej Olymp.
Rzecz dalsza dzieje się nad górnym Penejem.

SYRENY.

Rzućcie się w Peneju bród!
Popluskamy się w tej cieśni,
Zanucimy pieśń po pieśni,
By podniecić ludzki ród!

Szczęście tylko w głębi wód!
Płyńmy na Egejskie morze,
Przez wezbrane rzeki łoże,
Tam nas czeka cudów cud.

(Trzęsienie ziemi).

Pieniąc się, powraca fala,
Już się z nurtem wstecz przewala;
Dno zadrzało, woda pryska,
Z brzegów walą się urwiska.
Uciekajmy, próżny trud,
Tu nie zbawi nas i cud.

Dalej, wy szlachetni goście!
Na biesiadę się zaproście
Tam, gdzie wały rozpryśnięte
Wilżą brzeg — łagodnie wzdęte;
Gdzie się Luny światło dwoi,
Święta rosa ziemię poi —
Tam swobodny dla nas byt,
Tu trzęsienie. trwogi zgrzyt.
Kto rozumny, precz ztąd, precz!
Straszna tutaj każda rzecz!

SEISMOS [1]) (hucząc w głębi).

Jeszcze raz wytężę grzbiet,
Pchnę barkami potężnemi,
A będziemy w górze wnet
I rozgościm się na ziemi.

---

[1]) Tytan, uosabiający trzęsienie ziemi.

(Dokończenie nastąpi).

Przełożył LUDWIK JENIKE.

»SALON« TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE.

(Henryk Siemiradzki. — Paweł Bouchard).

Siemiradzki, mistrz lubujący się w promieniach Feba, rozjaśniającego błękity italskich niebios, złocących nieco zapienione czuby fal szafirowych, lekko kołyszących się w zatokach Śródziemnego morza, ślizgających się po białych marmurach i odbijających się w nich jak w zwierciadłach, przedzierających się z siłą niezwykłą przez zbitą gęstwinę liści oliwnych i wawrzynowych... jest jednak pomimo to wszystko



Most Karola w Pradze w d. 4 września b. r.

na wskróś malarzem — a raczej — poetą polskim. Kształty, któremi myśli swoje wyraża należą do południowego świata; — dusza, która te kształty ożywia, nie przestała być polską, marzącą, północną. Świetnym tego dowodem jest obraz jego dawniejszy, obecnie jednak po raz pierwszy w *salonie* Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych wystawiony i noszący nazwę: »Noc w Pompei«. Nie ma w nim słońca złotego. Krajobraz pełen dziwnie tęsknego uroku — odczuty przedziwnie i cudnie namalowany — posrebrza delikatnie spokojne światło księżyca. Melancholicznie przedstawiają się w nim cyprysy żałobne i droga rzymska, przedmiejska, przy której wznoszą się pomniki cmentarne, wydobywające się zaledwie z ciemnego zmroku swą szaro-niebieskawą białością. Cisza panuje na obrazie — cisza, przemawiająca do widza jakimś dziwnie zrozumiałym... milczenia wyrazem. Całość obrazu prześlicznie w szczupłe ramy ujęta, obejmuje szeroki widnokrąg myśli. Na tem tle tylko dwie postacie... *On* i *ona*, kochankowie, w draperyach starożytnych siedzący na głazie grobowym, przyglądają się błyszczącemu robaczkowi, który siadł na *jego* dłoni. Co tu poezyi, jaka harmonia sceny z aktorami, ile polskiej tęsknoty, a przytem — i co najważniejsze — jaka potężna zdolność odmalowania subtelnego, filozoficznego pomysłu tak prosto, zwięźle, wyraźnie i logicznie! W obec takiego rezultatu nie należy mówić o studyach z natury, nie potrzeba zastanawiać się nad techniką. Artysta czyni ją uległą przepięknej idei, w taki sposób, że nie wiadomo gdzie się idea kończy, a gdzie sztuka zaczyna. Wszystko co zwykle nazywamy artystyczną *robotą* — a co tu posiada znane zalety pędzla H. Siemiradzkiego — nie obchodzi nas w tym obrazie wcale. Marząc sami, toniemy w morzu marzeń, odbijających się na twarzach bohaterów kompozycyi — i razem z parą, przyglądającą się *lucioli*, przenosimy się w sam środek krajobrazu, pozornie tylko nam obcego, bo malarz zbliżył go do nas duchem, a poeta położył na nim znamię myśli swojskiej. Cóż więcej — potem cośmy powiedzieli wyżej — mówić można o »Nocy w Pompei«?... Chyba dodamy słówko objaśnienia. *Luciola* nie jest owadem zupełnie podobnym do naszego *robaczka świętojańskiego*. Kiedy nasz błyszczy migotliwie i blado — jak próchno — gasnąc często, włoska jego powinowata świeci silnie, płomieniście, ciągle, niby prawdziwa *gwiazda*... w świecie istot najdrobniejszych. Tę jaskrawość przyrodzoną słusznie jej artysta pozostawił.

Zajmującym wielce jest obraz malarza francuskiego Pawła Bouchard »Niemi w seraju«, sprowadzony do Krakowa z godną pochwały zapobiegliwością przez zarząd Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w celu podniesienia dochodów naszej nieustającej wystawy. Powiedzieliśmy, że jest bardzo *zajmującym*, i wyrażenia naszego nie cofamy, nie twierdzimy jednakże, aby był *arcydziełem*, jak to głosiły niektóre pisma zagraniczne. Zalety mieszają się w nim z wadami — dość szczęśliwie dla pierwszych, — chociaż drugich nie zaćmiewają wcale. Obraz — jak wszystkie niemal utwory pędzla najnowszej szkoły francuskiej — malowany jest *czysto*, jasno, pogodnie; *czystością* śmiało położonych barw przedewszystkiem jedna on sobie uznanie i sympatye tak publiczności, jak i znawców. Lecz po za tem ogólnem dodatniem znamieniem szkoły — przymiotów oryginalnych, świadczących o niepowszedniej indywidualności jego twórcy nie widzimy wcale. Kompozycya — jakkolwiek w głównym zarysie wcale udatna i poprawna — zająć może jedynie szlachetną prostotą dramatycznego pomysłu, nie zaś psychologiczną jego głębią. Scena przedstawia chwilę, kiedy czarni rzezańcy wchodzą do seraju, aby według tradycyi podusić żony sułtana, który sam padł ofiarą pałacowej intrygi, tak często usuwającej władców wschodnich z widowni dziejów. Kilku eunuchów wkroczyło z prawej strony do bogatej, ozdobnej, promieniami słonecznemi oświetlonej sali. Na widok jedwabnej taśmy, powiewającej w ręku przodownika wysłańców śmierci, przerażenie okropne ogarnęło niewiasty. Jedna z nich padła na ziemię zemdlona. Artysta przeciągnął tu strunę grozy, nie wywołując należytego efektu, stan bowiem odaliski podobnym jest więcej do zdrętwienia hypnotycznego, niż do omdlenia. Ciało jej, przy ostatniem, musiałoby zachować pewną miękkość członków, opuszczenie swobodne, ciepło utajonego życia i senność, a nie to sztywne, drewniane prawie wyprężenie, dające się zaledwie tężcem hypnotycznym wytłumaczyć. Dalej grupa kobiet, zbitych w jeden kłąb i wijących się w strachu, ani poprawnością rysunku, ani melodramatycznym wyrazem lic, ani układem... zachwycić nas nie może. Brak tu prawdy i natury, znać zaś zbyt widocznie sztuczne upozowanie, wśród pracowniannych przystawek. Malarz za mało dał miejsca dla masy zagmatwanych kształtów i draperyj, niedokładnie poplątanie swe usprawiedliwiających przy braku poprawności rysunkowej, tej kardynalnej i powszechnej u mistrzów francuskich zalety. Postać ostatniej na lewo żony nieboszczyka sułtana, górującej nad wszystkiemi, jakby przylepionej do ściany, jest po prostu niemożliwą. Za najszczęśliwiej pomyślaną i najkwintniej wykonaną uważamy figurę blondynki, stojącej w pośrodku obrazu i stanowiącej główną jego ponętę. Chciała uciekać, skierowała kroki ku drzwiom w głębi. . lecz nagle, niespodzianie spostrzegła za zasłoną innych siepaczy i tego może, który kieruje wykonaniem wyroku. Chwieje się więc w ruchu pełnym estetycznego wdzięku i za chwilę padnie. Skona prawdopodobnie zanim dobiją. Postać cała w zarysie i plastyce tworzy deskonałe studyum akademiczne. Wszystko w niej wytwornie narysowane i namalowane pięknie, w pełni słonecznego blasku. Ręka prawa z dwoma pierścionkami na palcach nazwaną być może śmiało cackiem zmysłowego kunsztu i umiejętnie uwydatnionej powietrznej perspektywy. Sprawiedliwość dodać nam każe, że w ogólności, ręce kobiece posiadają w Pawle Bouchard wytrawnego i utalentowanego modelatora.

O wiele mniej udatnemi są postacie czarnych *Niemych* tak w rysunku, jak w sposobie malowania, a nawet w wyrazie nadanym im przez artystę. Na pierwszy rzut oka spostrzegamy, że ten, który jest motorem całej akcyi obrazu ma pięść lewą mniejszą od prawej i prawe ramię dłuższe od lewego. Całość jednak kompozycyi, chociaż nie zdradza myśli poety, myśli mistrzowskiej, umiejącej nadać dziełu cechę twórczej oryginalności, chociaż wartość jej obniżają braki i błędy indywidualne, zająć jednak musi inteligentnego i wykształconego widza — jak to już powiedzieliśmy wyżej — niepospolitemi zaletami szkoły francuskiej, która bogactwem techniki stanęła oddawna w sztuce europejskiej na pierwszorzędnem, kierowniczem i przodowniczem stanowisku.

ZYGMUNT SARNECKI.

KRONIKA.

* Henryk Siemiradzki gościł między nami w Krakowie dni kilka, otoczony powszechną czcią, szacunkiem i sympatyą, które zdobywa nietylko olbrzymim swym talentem, zasługami i charakterem, pełnym szlachetności, lecz zarazem i obejściem się miłem, wytwornem, nacechowanem uprzejmością i ciepłem serdecznem. W każdym calu niepospolity i wyższy człowiek, zużytkowywał tu do swoich kompozycyj przyszłych motywy architektoniczne i typowe krakowskie. Nadto bardzo pilnie zajmował się każdym objawem życia na niwie sztuki i literatury. Umie on je badać i oceniać należycie. Interesował się teatrem i jego losami. Bywał na przedstawieniach w których występował Rapacki. Życzliwem słowem dodawał otuchy do dalszego prowadzenia i utrzymania naszego *Świata*. O mistrzach i wybitnych koryfeuszach sztuki polskiej wyrażał się z szczerem uznaniem, bez cienia tego co nazywamy »komplimentem z grzeczności«. Słyszeliśmy z ust jego gorące pochwały dla wielu artystów. Nie podobna wszystkiego co mówił tu streścić, ani wszystkich nazwisk przytoczyć, lista bowiem byłaby za długą. Między innemi podniósł wysoce artystyczną siłę swojskości, oraz doskonałą technikę krajobrazów Romana Kochanowskiego. O akwarellach Stanisława Tondosa i pracach jego pomieszczonych w *Świecie* wypowiedział zdanie nader pochlebne. Talent rzeźbiarski Teodora Rygiera, M. Gujskiego, T. Błotnickiego i innych ocenił w wyrazach pełnych głębokiego znawstwa. Radą zdrową zachęcał młodych pracowników do wytrwania na ciernistej drodze sztuki. Obraz Włodzimierza Tetmajera, wystawiony w Sukiennicach — a którego wierną reprodukcyę damy w przyszłym zeszycie *Świata*, podobał mu się z wielu względów. Słowem bytność jego — niestety zbyt krótka i w porze kiedy miasto nasze jeszcze wyludnione — oddziałała na wszystkich co się doń zbliżyli nader dodatnio i pozostawiła po sobie w kołach literackich i artystycznych najmilsze wspomnienie.

* W pracowni Antoniego Piotrowskiego widzieliśmy kilka pięknych płócien rozpoczętych, odznaczających się tą siłą realistycznej prawdy, jaką utalentowany artysta wlewa zwykle w swoje kreacye. *Jeden* ze wspomnianych obrazów wyobraża grupę dziewczątek w bieli, niosących „feretron“ w procesyi; *drugi* przedstawia wnętrze klasztoru bułgarskiego, a w niem piękną Bułgarkę w stroju narodowym, pogrążoną w modlitwie. Przy niej stoi zakonnica. Całość nęci i zatrzymuje na sobie oko widza, przyglądającego się z upodobaniem mało znanemu u nas tematowi, tło bowiem nawet, wypełnione motywami bizantyjskiemi, jest przedziwnie odtworzone i łączy się z grupą dwóch osób — stanowiących główną treść kompozycyi — w jedną doskonałą całość.

* Wojciech Kossak wyjechał na pewien czas do Paryża, gdzie go powołały liczne zamówienia. Między innemi malować ma on pana Blanc, otoczonego końmi wyścigowemi.

* Stanisław Rejchan, dręczony newralgią, opuścił Paryż na parę tygodni, aby we Lwowie odpocząć po uciążliwych swych zajęciach i powrócić do zdrowia. I tu jednakże pracuje dla wydawców angielskich i francuskich, którzy nasyłają go ciągłemi zamówieniami. Wykończa on obecnie illustracye do londyńskiego *Graphic'a* i do noworocznego paryskiego *Figaro illustré*, oraz do powieści Theuriet'a „*L'Oncle Scipion*“, którą wydać ma A. Lemerre, tudzież do publikacyi w d. 1 stycznia p. r. ukazać się mającej w handlu księgarskim, a przygotowanej do druku przez znanego rozgłośnie nakładcę Hachette'a. Pomimo tylu rozlicznych zadań przez utalentowanego artystę podjętych i wykonywanych, nie zapomina on o naszym *Świecie* i przygotowuje dla nas rysunki, które prawdopodobnie jeszcze w roku bieżącym ukażą się w naszem piśmie.

* Erazm Fabijański (ojciec) wykończył bardzo ładne akwarellowe album widoków Tenczynka dla księcia Windischgrätza. Album wspomniane; przyozdobione udatnie narysowaną kartką tytułową, świadczy o wielkim postępie artysty w technice akwarellowej. Dowód to, że przy talencie i pracy można w każdym wieku osiągać coraz świetniejsze rezultaty w sztuce, jeśli poświęcamy się jej całą duszą, pracując bez wytchnienia i bez miłości własnej.

* Z przyjemnością zaznaczyć nam przychodzi, że w ostatnich tygodniach ruch nabywczy w dziedzinie sztuki ożywił się u nas wcale pięknie. Kilka obrazów z wystawy Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych kupili bogaci lubownicy sztuki, a mianowicie: »Chatę za wsią« Bergmana — p. Zygmunt Darowski, z gubernii kijowskiej; »Brankę« Kraszewskiej — Konstanty hr. Przeździecki; »W zimie« Piechowskiego — pani Osowiecka z Warszawy; »Z jarmarku« Bierkowskiej — p. Schrambach z Wrocławia; »Czarny staw« Mroczkowskiego — p. Ludwik Michałowski, posiadający w mieście naszem jedną z najpiękniejszych i najcenniejszych kolekcyj obrazów, dzieł sztuki i starożytności.

* Wystawa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Sukiennicach co poniedziałki, środy i piątki oświetlaną bywa elektrycznie.

* Wspaniałego dzieła „Poczet Królów“ z mistrzowskiemi rysunkami Jana Matejki i tekstem objaśniającym Stanisława Smolki, wyszło nowe trzy zeszyty (IV, V i VI), mieszczące w sobie wizerunki: Władysława Hermana, Bolesława Śmiałego, Bolesława Kędzierzawego, Mieczysława Starego, Bolesława Krzywoustego i Władysława II. Są to portrety, a raczej dokumenty historyczne, genialną myślą przeczute i genialną ręką nakreślone, posiadające pomnikową wartość. Heliograwiurowy rodzaj reprodukcyi, doskonale nadał się tu do odtworzenia tego, co mistrz stworzył, zwłaszcza, że płyty wykonane są wybornie, z wielką starannością. Odbicie nie pozostawia także nic do życzenia.

* O nadesłanych nam zeszytach 8, 9 i 11 »Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Illustrowanej« powiedzieć możemy to samo co o poprzednich, że są opracowane bardzo sumiennie i odbite nader starannie. Słowem wydawnictwo to, któremu w początkach nie wróżono pomyślności i powodzenia, rozwija się w warunkach danych wielce udatnie, a całość stanie się niezawodnie dla ogółu naszego ze wszech miar pożyteczną.

* Ostatnie nadesłane nam zeszyty *Bulletin de l'union universelle des femmes*, świadczą o żywem zajęciu, jakie to pismo — reprezentujące stowarzyszenie, noszące tę samą nazwę — budzi w pośród kobiet wszystkich narodowości i wszystkich krajów. Ścierają się tu zdania, gromadzą poglądy, rodzą projekty, które utalentowana redaktorka regestruje z wielką skrzętnością, uzupełniając je cyframi i datami statystycznemi wielce interesującemi. Pomiędzy portretami zasłużonych kobiet — illustrującemi przegląd poświęcony sprawom kobiecym — znajdujemy w zeszycie czerwcowym wizerunek Elizy Krasnohorskiej, znanej powieściopisarki czeskiej, oraz ciepło napisaną ocenę jej charakteru i działalności.

* Bałucki, po willegiaturze letniej wrócił do Krakowa, a na św. Michała — w dzień jego imienin — liczne grono przyjaciół i znajomych składało mu życzenia w jego zimowej rezydencyi, przy ulicy Floryańskiej.

* Dr. Julian Ochorowicz w przejeździe z Zakopanego do Warszawy gościł w naszem mieście dni parę.

* Adam Krechowiecki, znany zaszczytnie powieściopisarz i naczelny redaktor *Gazety Lwowskiej*, bawił w ubiegłym tygodniu dni kilka w Warszawie podejmowany gościnnie i serdecznie przez tamtejszy świat literacki i dziennikarski.

* Henryk Sienkiewicz pisze studyum krytyczne o »Brankach w jasyrze« Deotymy, które pomieścić zamierza w *Niwie* warszawskiej. Nie wątpimy, iż utalentowany powieściopisarz — przy sposobności — scharakteryzuje w ogólnych zarysach niepospolity talent poetki i całą jej działalność literacką. Należy się jej to oddawna. Po pierwszym wulkanicznym wybuchu pochwał szumnie brzmiących i owacyj najrozmaitszych dla *improwizatorki* (a na czele chóru stali nawet Mickiewicz i Krasiński), przyszło systematyczne przemilczanie *poetki* i *literatki*... w końcu zapomnienie. Dobrze więc, iż człowiek z głosem donośnym i chętnie słuchanym podejmuje się omówienia tego, co w każdej innej literaturze stanowiłoby przedmiot dyskussyi dla najpoważniejszych koryfeuszów najrozmaitszych stronnictw literackich.

* W ciągu występów W. Rapackiego, dyrekcya teatru krakowskiego wznowiła słynną komedyę „Syn Giboyer'a“, jedno z arcydzieł Emila Augier. Z przyjemnością zauważyliśmy, że sztuka graną była w całości wcale przyzwoicie, chociaż wystawiono ją nagle, bez należytego opracowania, na jakie ze wszech miar zasługuje. Przy staranniejszem wypróbowaniu mogłaby raz na zawsze stanowić stałą ozdobę repertuaru naszej sceny. Znakomity gość warszawski odtworzył w niej postać sprzedajnego dziennikarza, dziś już tak typową jak Molierowski: świętoszek, skąpiec, mizantrop, uszlachcony-mieszczanin i w. i. Rozminął się wprawdzie w kreacyi swojej z tradycyjnem pojęciem roli, umiał jednak zabarwić ją kolorami prawdy, które na szczery poklask zasługują. Syna Giboyer'a, bohatera komedyi, grał młody artysta, p. Śliwicki, który dowiódł nieraz, że posiada istotne, niezaprzeczone zdolności. Zadanie tym razem było dlań za trudne, bo wymagające nieskończonej gradacyi cieniowań delikatnych, wielce skomplikowanych uczuć. Utalentowany, lecz bardzo jeszcze niedoświadczony aktor, jak p. Śliwicki, mógł mu podołać tylko przy pomocy i wskazówkach wykształconego i intelligentnego informatora-reżysera, którego teatr nasz obecnie nie posiada wcale. Rolę baronowej Pfefers, najeżoną tysiącznemi trudnościami, wykonała p. Zaleska. Sprawiedliwość każe nam zaznaczyć, że młoda artystka błyszcząca zawsze pilnością wielką, oraz starannością i wytwornością pełnych smaku toalet, tym razem przekonała nas także, iż może z rzeczywistą korzyścią dla sceny pracować, odtworzyła bowiem bardzo dobrze (w ogólnym zarysie) charakter intrygantki salonowej, rozporządzającej całym arsenałem kobiecego wdzięku i sprytu dyplomatycznego, słowem *rolę pierwszorzędną*. Na gorące pochwały zasługiwał p. Solski, za grę pełną artystycznej finezyi i drobiazgowego wykończenia. Z estetyczną prostotą wywiązała się p. Kałużyńska ze swojej roli, a prostotę taką bardzo cenimy. P. Siemaszko grał komicznie, bez przesady. Artysta nie mógł i nie powinien był modyfikować pewnych jaskrawości, jakiemi genialna ręka Augiera wyposażyła typ głupiego samoluba-mieszczucha,

nakreślonego z mistrzowską siłą satyryczną. Brzydzimy się tak zwanem *szarżowaniem* w komedyi wyższej. Ile razy aktor przebierze miarę w tym kierunku karcimy go zawsze, ale nie uważamy za rzecz właściwą krępować polotu komicznego jego werwy, gdy ją godzi inteligentnie lub szczęśliwie z rysunkiem i kolorytem przedstawianej postaci. P. S. tym razem nie wyszedł z granic zakreślonych przez autora. — „Syn Giboyer'a" — opracowany na nowo — powinien jeszcze raz przynajmniej okazać się w sezonie bieżącym na scenie naszej, bo tego rodzaju utwory stanowić muszą podstawę repertuaru, jeśli teatr krakowski ma odpowiedzieć swemu przeznaczeniu, jakie mu narzuca subwencya krajowa, oraz życzliwość i poparcie krytyki i publiczności. Rolę po Rapackim, może śmiało dźwignąć i wykonać dobrze, p. Rygier. — W „Mężu z grzeczności" pp. A. Abrahamowicza i R. Ruszkowskiego debiutowała nowo zaangażowana panna Siennicka, córka przedwcześnie zgasłej, dobrze znanej w Krakowie artystki. O ile z pierwszego występu — w roli nie odpowiadającej warunkom zewnętrznym aktorki — sądzić można, p. S. może się stać użyteczną. Mówi ładnie, porusza się na scenie swobodnie, posiada powierzchowność ujmującą i głos wprawdzie niewielki, w dolnych nutach nie wyrobiony, ale wcale przyjemnie wpadający w ucho. Nie wypowiadamy zdania naszego dzisiaj w zupełności... Czekamy na nowe role.

* Z dyrekcyi teatru otrzymaliśmy w d. 20 września następujące doniesienie: »Wobec ustawicznie krążących pogłosek, jakoby w tych dniach miała nastąpić zmiana dyrekcyi naszego teatru, z całą stanowczością zapewnić możemy, że tak się nie stanie, gdyż wszelkie w tym względzie pertraktacye nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Zatem teatr pozostaje i nadal pod dotychczasową dyrekcyą«.

* Znakomita artystka dramatyczna Helena Modrzejewska przybyła z Ameryki do Księstwa Poznańskiego, gdzie czas jakiś zabawi na wsi, w Kopaczewie, u krewnych swego męża Karola Chłapowskiego. Ztamtąd uda się do Warszawy. Spodziewaną jest także w grudniu w Krakowie.

* Pani Adolfina Zimayer, po powrocie do Warszawy ze Lwowa, ciężko zaniemogła. Lekarze polecili jej udać się do Włoch dla poratowania zdrowia.

* W skład nowej komisyi teatralnej we Lwowie wejść mają: Tadeusz Romanowicz, członek Wydziału Krajowego; Adam Krechowiecki, redaktor *Gazety Lwowskiej;* Stanisław Niewiadomski, kompozytor muzyczny; prof. uniwersytetu Dr. Roman Pilat i A. Wiesiołowski, autor dramatyczny.

* Konkurs dramatyczny im. Wołodkowicza, mający na celu dostarczenie nowemu teatrowi krakowskiemu sztuki na pierwsze przedstawienie, stanowczo przedłużony został do końca 1892 roku.

* Rada miasta Krakowa nabyła jedną akcyę teatru polskiego w Poznaniu, chcąc dać piękny przykład pomocy dla tak pożytecznej instytucyi.

* Na wystawę w Turynie wysłał krakowski zarząd budownictwa miejskiego: zdjęcie planów zamku i katedry na Wawelu, dokonane przez architektów: Odrzywolskiego i Prylińskiego; plany szkoły sztuk pięknych, szkoły wydziałowej, szkół ludowych, gmachu straży ogniowej i rzeźni miejskiej; dalej plany, wskazujące rozwój i rozrost naszego starego grodu począwszy od XV wieku; albumy z fotografiami zabytków architektonicznych od najstarszych do najnowszych czasów; fotografie wyobrażające wnętrze katedry, tudzież fasady innych gmachów monumentalnych; wreszcie na podstawie akt grodzkich dokonany spis nazwisk 311 budowniczych, majstrów murarskich i kamieniarskich od roku 1324—1750, w liczbie których 50 Włochów i 11 Niemców.

* W archiwum akt dawnych miasta Krakowa złożone zostały stare księgi radzieckie i ławnicze, które cesarz pozwolił wydać gminie tutejszej. Księgi te pełne cennego materyału do dziejów naszego grodu, znajdowały się dotąd w urzędzie hipotecznym krakowskiego sądu krajowego,

* Tygodnik węgierski *Családi* (Rodzina), pisząc o Mickiewiczu, zwraca uwagę, że badacze nasi nie wspominają o stosunkach wieszcza z Aleardim, poetą włoskim, który jako wygnaniec w czasie swego przymusowego pobytu w Paryżu, bywał częstym gościem u autora „Pana Tadeusza". Wspomniane przez nas czasopismo madziarskie zapowiada druk szeregu nieznanych listów Mickiewicza do Aleardiego, w których pierwszy omawia współczesną mu sytuacyę polityczną europejską z zupełnie nowego i odrębnego stanowiska.

* Na Górnym Szląsku zaczął wychodzić nowy dziennik polityczny w języku polskim p. t. *Gazeta opolska.*

* Pamiątkowy obraz Matki Boskiej zdjęty niedawno z domu Długosza w celu wyrestaurowania, został już napowrót na murze, do swojego dawnego miejsca przytwierdzony. Odnowienie obrazu, dokonane przez p. Gałuszkiewicza wypadło szczęśliwie. Dziur wywierconych — jak podanie niesie — kulami szwedzkiemi, artysta-restaurator nie zakitował.

* Kościół na górze Świętokrzyskiej posiada siedm oryginalnych obrazów pędzla Smuglewicza, potrzebujących odnowienia. Utalentowany malarz, profesor W. Gerson, proponuje wystawienie tych dzieł w Warszawie, aby z dochodu, jaki wystawa przyniesie, zebrać fundusz na ich należyte wyrestaurowanie.

* Obchód dwudziestopięcioletniego jubileuszu pierwszej w kraju straży ogniowej ochotniczej, pozostającej od samego początku pod dzielnem kierownictwem p. Wincentego Eminowicza, odbędzie się w d. 1 listopada b. r.

BIBLIOGRAFIA.

Esteja. — „*Kartki z życia kobiety*". Powieść odznaczona zaszczytnie na konkursie *Kuryera Warszawskiego.* Z 52 illustracyami *Czesława Jankowskiego.* — Warszawa. S. Lewental nakładca.

Bez przesady powiedzieć możemy, że leżąca przed nami książka jest pierwszą w naszym handlu księgarskim bardzo zbliżoną do pierwowzorów tego rodzaju wydawnictw francuskich. Na pięknym papierze, doskonały zakład reprodukcyjny Husnika i Häuslera w Pradze czeskiej (którego dzielnem współpracownictwem *Świat* się posiłkuje) rozrzucił pięćdziesiąt dwie klisz, udatnie trawionych z oryginalnych rysunków pełnego talentu illustratora Czesława Jankowskiego. Staranny druk i pełen smaku układ typograficzny przynoszą zaszczyt zakładom warszawskim p. S. Lewentala. Tylko odbicie pozostawia coś ...do życzenia. Książka — względnie bardzo niedroga — może przyozdobić stoliki najwykwintniejszych salonów. Treść jej odpowiada szczęśliwie zewnętrznym warunkom wydawnictwa. Autorka „Kartek z życia kobiety" — której powieść najświeższą drukujemy obecnie w *Świecie* — szybko, wstępnym bojem zdobyła sympatye czytającej publiczności. Niedawno, jeden z najznakomitszych przodowników naszego piśmiennictwa belletrystycznego, Teodor Tomasz Jeż, nader pochlebnie utwory jej ocenił, konstatując talent niezaprzeczony i podnosząc zalety pióra, poświęcającego się przeważnie charakterystyce wad i przymiotów tej części społeczeństwa, którą zwykle nazywamy *śmietanką* towarzystwa. Powodzenie, jakiem się cieszy wychodząca w łamach naszego dwutygodnika powieść „W sieci pajęczej" jest najlepszym dowodem, że T. T. Jeż w sądzie swoim się nie omylił.

NEKROLOGIA.

* *Jan Kanty Gregorowicz*, pełen zasług pisarz ludowy, znany pod pseudonimem Janka z Bielca, zmarł w Warszawie w d. 16 września. Urodził się 17 października 1818 roku. „Obrazki wiejskie", drukowane w r. 1850 w *Bibliotece Warszawskiej*, zwróciły uwagę krytyki i czytającego ogółu na początkującego autora, a rozprawa „Uwagi nad środkami podniesienia gospodarstwa krajowego", ogłoszona w *Rocznikach* Tow. Rolniczego, zjednała mu uznanie wśród ziemian. Odtąd całkowicie poświęcił się zawodowi literata i dziennikarza, objąwszy naprzód redakcyę *Gazety rolniczej*, wychodzącej jako dodatek przy *Gazecie codziennej;* z czasem Gregorowicz wspólnie z H. Lewestawem i J. Prackim w całości przejął *Gazetę codzienną.* Rzuciwszy się raz w wir pracy dziennikarsko-wydawniczej, Gregorowicz po zbyciu *Gazety* zakłada znów z Lewestamem pismo humorystyczne *Wolne żarty*, a w 1860 r. nabywa *Magazyn mód*, z którego wyrodził się dzisiejszy *Tygodnik mód*, do ostatniej chwili pod jego redakcyą wychodzący. Pierwszym także redaktorem pisma ludowego *Kmiotek* był Gregorowicz, zdawszy później kierunek Władysławowi Anczycowi, znanemu wówczas pod pseudonimem Kazimierza Góralczyka. Redagował nadto przez czas pewien *Zorzę*, oraz do ostatniej chwili *Przyjaciela dzieci.* Twórczość literacka Janka z Bielca była zwrócona wyłącznie w kierunku ludowym. Zbliżony w pierwszych latach młodości do ludu wiejskiego, serdecznie go miłujący, malował jego życie niekiedy za idealnie, ale płynęło to zawsze z głębokiego i szczerego przeświadczenia, że tak pisać należy. Z licznych prac Gregorowicza („Tomek bez nogi", „Dobry ekonom", „Różne różności", „Tomek Sandomierzak", „Obrazki historyczne", „Ukryte skarby" i t. p.) najwyżej pod względem artystycznym można postawić „Zarysy wiejskie", w których z talentem odtworzył chłopa arystokratę, chłopa lichwiarza i chłopa poetę. Pisał także utwory dramatyczne ludowe („Werbel domowy", „Nowomodne zaloty" i „Janek z pod Ojcowa"), które na scenie warszawskiej cieszyły się długiem powodzeniem. Powszechną czcią otoczony był zacny pracownik w swojem mieście rodzinnem, bo na cześć tę najzupełniej zasługiwał.

* W Krakowie zmarł *Ludwik Zarewicz*, b. sekretarz b. dyrekcyi skarbu w Krakowie, autor wielu monografij historycznych, członek komisyi historycznej Akademii Umiejętności, ojciec znanego zaszczytnie lekarza i docenta uniwersytetu Jagiellońskiego Dra Zarewicza.

* We Lwowie zmarł współredaktor *Łowca* i znany myśliwy *Aleksander Ubysz.*

* W Warszawie zmarła *Aniela Bogusławska* — zwana „cywilną siostrą miłosierdzia" — w *Kuryerze Warszawskim* bowiem naprzód, a następnie w *Kuryerze Codziennym* prowadziła z prawdziwem poświęceniem dział rozdawania ofiar, składanych dla ubogich i nieszczęśliwych przez prenumeratorów pism wymienionych. Znaliśmy ją jako istotę rzadkiej dobroci. Biedni szczerze i gorąco płakać po niej będą!

* W Paryżu zmarła utalentowana artystka dramatyczna *J. Samary*, licząca zaledwie lat 33 wieku, siostrzenica słynnych: Augustyny i Magdaleny Brohan. Jak jej ciotki należała do składu teatru Komedyi Francuskiej. Polem jej popisu były nieśmiertelne utwory Molier'a i sztuki nowoczesne: George Sand i Paillerona.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.